

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 25

# BLUSZCZ



WARSZAWA, 19 CZERWCA 1926 ROKU

## OD ADMINISTRACJI

PROSIMY O ZAPŁACENIE PRENUMERATY ZA LIPIEC WZGLĘDNIĘ ZA TRZECI KWARTAŁ r. b.  
PREUMERATA JEST PŁATNA ZGORY

CZEKI P. K. O. DOŁĄCZYLIŚMY DO NUMERU 21.

Ze względu na to, że wysłane przez nas numery „BLUSZCZU” często giną na poczcie, prosimy, w razie nieotrzymania numeru zawiadomić nas o tem najpóźniej w poniedziałek następnego tygodnia. Reklamacyj niewniesionych w czasie właściwym uwzględniać nie będziemy.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

**Baczność Matki!**

**Baczność Matki!**

KAŻDEGO 8-go i 22-go W MIESIĄCU

WYCHODZI

DWUTYGODNIK

# „DZIECKO I MATKA”

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze, pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przedszkola, jest poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka do lat 7-miu (prospekt dołączyliśmy do numeru 18-go Bluszczu).

**Każdy numer w barwnej okładce, bogato ilustrowany, z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie krojami bibułkowymi kosztuje pojedynczo 60 gr.; w prenumeracie miesięcznej z przesyłką—tylko 50 gr.; kwartalnej — 45 groszy.**

Nie należy zwlekać i natychmiast dwutygodnik zaprenumerować, gdyż numer pierwszy już na wyczerpaniu.

Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900. Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków pocztowych za 50 gr. do

Administracji „DZIECKA i MATKI”

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

Czek P. K. O. dołączyliśmy do Nr. 18 „Bluszczu”.



ROK LIX

№ 2

# TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

WARSZAWA, 19 CZERWCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Kto im poda rękę—H. C. W kampanji rzymskiej *Helena Boguszewska*. Anioł i demon bohaterstwa—C. *Walewska*. Assyż (c. d.)—*Ellen Key*. Okruchy astronomiczne—*Zofja Reutt Witkowska*. Uciekajmy razem—A. *Guglielminetti* (tłum. T. *Jakubowicz*). Grande-Grille (szkic powieściowy)—*Wanda Milaszewska*. Przymierze z dzieckiem—*Marja Kuncewiczowa*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawisanka*. W odmetach rewolucji 1905 roku—H. C. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Z teatrów—Z. P. Dział praktyczny: Mody i roboty. Firanki haftowane. Z ostatniej chwili—W. D. Pierwsza wiza. Polska współczesna. Mleczarstwo—*H. Bilka*. Przed wyjazdem na letnisko—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korrespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię”—*Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. *Jakubowicza*). TABLICA KROJÓW.

## KTO IM PODA RĘKĘ?

Uchodzi za pewnik, że kobieta, która raz zesła z normalnej drogi życia, staczając się w otchłań nierzędu, jest jednostką nieuleczalną i z otchłani tej już się nie podniesie.

Są fakty jednak, zaprzeczające tej utartej opinii. Nie często, to prawda, ale jednak od czasu do czasu trafia się, że z spośród kontrolowanych, a więc zawodowo traktujących swój sposób życia, prostytutki, zgłasza się do Urzędu sanitarno-obyczajowego kandydatka do takiego niezwykle powrotu. Jest to zazwyczaj taka, która otrzymała pracę, albo wychodzi zamąż, albo zawiera nielegalny związek z jednym mężczyzną. Gdy przedstawi dowody, że w życiu jej następuje istotnie zmiana, Urząd sanitarno-obyczajowy wykreśla ją z listy kontrolowanych prostitutek i zwalnia z obowiązku zgłaszania się. Jest to zazwyczaj moment wruszający, któremu towarzyszą łzy i żal za zmarnowaną, w podły sposób, młodością.

To dzwiganie się z upadku odbywa się bez żadnej ze strony społeczeństwa pomocy. Czasem pomoże rodzina, czasem ten jeden jakiś człowiek, który nie waha się prostytutki wziąć za żonę, czasem jakaś poszczególna dobra dusza.

Bo instytucje społeczne, tem się nie zajmują.

Takie np. Tow. Ochrony Kobiet, które wszyscy posiadają o to, że właśnie ma za zadanie ratowanie kobiet upadłych, jak najdalsze jest od powyższej akcji.

Postawiło ono sobie za cel tylko pracę zapobiegawczą, tylko profilaktykę społeczną.

W tym celu utrzymuje bursy dla młodych dziewcząt, hoteliki dla podróżnych, biura pośrednictwa pracy, organizuje misje dworcowe i t. p.

To wszystko robi się dla zdrowych moralnie, żeby nie zetknęły się z zarazą i nie uległy jej. Dla zarażonych już, niema nic. Nawet taki Henryków (przystań dla moralnie zaniedbanych) przyjmuje tylko dziewczęta, którym ogień zepsucia zaledwie lekko opalił skrzydła, często całkiem niewinne, a tylko tułające się bez pracy. Dla prostitutek, pragnących zmiany życia, niema tam miejsca.

Między Tow. Ochrony Kobiet a publicznością panuje humorystyczne nieporozumienie. Towarzystwo wszelkimi siłami wypiera się jakiegokolwiek styczności z pracą nad prostytutkami, a publiczność wmawia w nie, że właśnie taką pracę prowadzi często pod kategorie niewłaściwą podciąga mieszkanki burs lub hoteli tego Towarzystwa.

Doceniając w zupełności wartość pracy zapobiegawczej na tym terenie, pragniemy wskazać na niezajęte przez nikogo placówki działalności, o które życie domaga się wielkim głosem.

Prostytucja jest szkodliwą klęską społeczną.

Urząd sanitarno-obyczajowy w Warszawie notuje w swoich spisach około 10 tysięcy kontrolowanych prostitutek. Nie kontrolowanych jest co najmniej dwa razy tyle. A prowincja? taka Łódź, Lwów, Kraków? a miasta kresowe? Nie jest żadną przesadą, gdy się powie, że posiadamy całą straszliwą armię, szerzącą nieustannie najgroźniejsze, ponuremi dziełkami grożące choroby.

Dla zmniejszenia tej armii nie robi się faktycznie nic, pomimo, że istnieją różne Komitety i Towarzystwa których nazwy zdają się wskazywać, iż do tej właśnie pracy zostały powołane.

Przeszkodą w rozpoczęciu walki z tem złem jest w dużym stopniu owa zakorzeniona opinia, że prostytutka to istota nie do nawrócenia.

Szerzą ją najczęściej osoby, które podejmując w tym kierunku pewne próby, zawiodły się. Niewiadomo jednak, czy nie zawiodły się tylko na własnych talentach i na stosowanych przez siebie metodach pracy.

W nawracaniu prostytutek grał dotychczas niepoślednią rolę moment pokuty za grzech. Towarzystwo, czy zakon, który przed wojną zajmował się u nas tą pracą i miał zakład dla nawróconych prostitutek w Piasecznie pod Warszawą (dziś już nie działa), zmuszał nieszczęśliwe te kobiety do przestrzegania pewnych form pokory, które i im i ludziom postronnym przypominały wciąż haniebną ich przeszłość. Osoba taka np., wchodząc do mieszkania, przysłana z listem, czy poleceniem jakimś, stawała na progu i spuściwszy głowę, a ręce założywszy na piersi, czekała, aż ktoś do niej się zwróci. i t. p.

To była średniowieczyzna, która oczywiście tylko wyjątkowo nastrojonym duszom mogła dogadzać. Gdyby nastrój pokutny zastąpić nastrojem radosnym duchowego odrodzenia i na tym fundamencie oprzeć cały program pracy, dałby on może całkiem nowe i zgoła nieoczekiwane rezultaty.

Ale tego nie zrobią już ludzie dawnego pokroju. Trzeba zupełnie nowych sił. I do tych nowych ludzi, z otchłani swojej wyciągają ręce nieszczęsne ofiary stosunków społecznych, braku oświaty, braku opieki, bezrobocia.

— „Niech pani mi da pracę“—oto słowa, które wciąż słyszą policjantki, gdy starają się zbłąkane dziewczęta zawrócić z drogi nierządu.

Brak pracy w ostatnim roku powiększył kolosalnie armię prostitucji.

Pozbawiona pracy dziewczyna ma przed sobą dwie drogi: nierząd albo samobójstwo. Ale i samobójstwo podobno jest grzechem..

A grzech ten w wielkim mieście popełnia codziennie kilka młodych kobiet. Dom zarobkowy, tylko nie przymusowy, jak to podobno projektują jacyś zwolennicy starych metod, dom zarobkowy na zupełnie nowych i naukowych oparciu podstawach, z badaniem psychicznych i organicznych właściwości danej jednostki, ze swobodą obrania sobie rodzaju pracy, jaki najbardziej odpowiada jej upodobaniom — oto, co byłoby niezbędnym, zarówno dla pragnących porzucić swój smutny zawód prostitutek, jak i dla przestępczyń, wypuszczonych z więzień

Przy Domu takim powinna być bursa dla tych, co nie mają gdzie skłonić głów — ale nie obowiązujące bynajmniej zamknięcie dla wszystkich. Żadnego śladu przymusu! Atmosfera słoneczna, pogodna; nic nie powinno przypominać złego snu przeszłości. Zamiast oglądania się za siebie dążenie ku jasnym dniom co przyjdą! Kształcenie w sobie zaniedbanych i nierozwiniętych talentów i uzdolnień!

Warsztaty pracy powinny być własnością ogólną, mądrze pomyslaną kooperatywa wytwórczą, dążąca do samowystarczalności. Każda ze zgłaszających się, po pewnym okresie prób, staje się auto-

matycznie członkinią kooperatywy. Każda od udziału swego pobiera pewną część dochodów.

Wspólna sala kulturalnych rozrywek, biblioteka, klub itd. itd!

Oto, jak wyglądać powinna taka instytucja, by mieć siłę atrakcyjną, by naprawdę z głębin upadku i niedoli podnosić, z ciemnicy prowadzić na słońce, budzić poczucie godności ludzkiej w tych, co się go już wwrzekły, umiłowanie czystości duchowej w tych, co żyły dotąd wśród brudu, dążność do moralnego doskonalenia, zamiast staczania się coraz bardziej w dół. I nawet w takich warunkach organizujący tę pracę przygotowani być muszą na wiele zawodów i rozczarowań.

Akcja bowiem należy do niezmiernie trudnych. Trzeba się liczyć z możliwością nawrotów do dawnego sposobu życia z potężnym wpływem złych nawyków, z dokonaną już w każdej z tych dusz kulturą występku.

Psychologowie, pedagogowie i święci stać powinni na czele takiej instytucji.

Psychologów i pedagogów wśród bezrobotnej inteligencji znaleźć można, a i święci na świecie się trafiają, nawet dziś.

Istnieje w Warszawie pewna osoba, która mając zawodową styczność z prostytutkami potrafiła bardzo znaczną ich ilość z drogi nierządu zawrócić, pomimo że nie rozporządzała żadnym z tych środków pomocy, które tu proponujemy. Takich genjuszów serca poszukiwać należy i w pracy tej je zużytkować.

Do wywołania dodatniej decyzji w duszy prostytutki nadaje się szczególnie moment pobytu jej w szpitalu, do którego każda prędzej, czy później trafia. Nauczona straszliwymi doświadczeniami wstrętnej choroby o złowrogich skutkach nierządu, znajdując się w pewnym stanie spokoju i równowagi umysłowej, skłonniejsza bywa wtedy do rozważania przeszłości i do cofnięcia się z obranej, nieraz przypadkowo i bezwiednie, drogi życia.

Osoba o której wzmiankuje, umiała właśnie ten moment wykorzystać i nie oglądając się na współdziałanie innych, zabiegami osobistymi zdobyć dla jednych pracę, dla innych uzyskać odnowienie związków z rodziną itd. itd.

Skoro więc pojedynczy wysiłek daje poważne rezultaty, rzecz nie jest niewykonalna. Zbiorowemi siłami możnaby tę straszną, tę najbardziej wrogą armię wewnętrznych nieprzyjaciół jeśli nie unieszkodliwić całkowicie — to przynajmniej osłabić poważnie i wiele sił ludzkich skierować na drogę produkcyjnej pracy, przeciwieście je w rachunku społecznych wartości z rubryki: minus pod rubrykę: plus. Możnaby budząc jasność w wielu ponurych i wrogo dla społeczeństwa usposobionych duszach — rozjaśnić w znacznym stopniu ogólną atmosferę, budzącą się do nowego życia, Polski.

Tylko niechże do tej nowej pracy nowi staną ludzie!

H. Ceyingerówna.



## W KAMPANJI RZYMSKIEJ



ędzimy samochodem przez ulice pełne gwaru, że tylko migają nam po drodze pałace, kościoły, łuki triumfalne, ruiny pokryte bluszczem, kolumny, a perspektywy na placu z kamiennymi wodotryskami, omszałemi ze starości, otwierają się i nikną w tej samej chwili.

Wymijamy dzwoniące tramwaje, porykujące auta, dwukolne wózki winiarzy zaprzężone w osły i wysoko wyładowane wozy, ciągnięte przez muły obwieszane brzękadłami i jakoś niepostrzeżenie zostawiamy poza sobą cały ten zgiełk i natłok, całą tę dziwaczość i malowniczość Rzymu. Niewiadomo kiedy wydestaliliśmy się za miasto — i odrazu wszystko się zmieniło.

Przed nami — jak okiem sięgnąć — niewysokie, zielone pagórki. Jeden zachodzi na drugi, a wszystkie podobne do siebie, jednakowe, że choć ujechaliśmy już kawał drogi, wciąż się nam zdaje, żeśmy tu już raz byli, żeśmy to już chyba widzieli. Takie to monotonne, niewesołe, bez drzew, bez krzewów, bez wody, ciągnie się bez końca, wciąż takie samo. Nic, tylko niebo i ziemia, na najdalszym krańcu obramowana wązkim paskiem dalekich gór, które uciekają w miarę, jak ku nim pędzimy.

I jeszcze jedna rzecz: owce. Całe takie stado, zbite w gromadę, wygląda, jak jedna, szara masa. Wielki baran — przewodnik z dzwonkiem u szyi. Duży, kudłaty pies ze śpiczastym pyskiem, spokojny, mądry, uważny i baczny. A nad tem wszystkim pasterz z długim kijem.

Pagórki, trawa, owce — tak wygląda Kampanja rzymska.

Tak wygląda na wiosnę — bo w lecie, to zupełnie co innego. W lecie — pozostają tylko pagórki i z zielonych stają się żółto-szare. Bo słońce wypala trawę do cna, a owce wędrują daleko i wysoko w góry. Wtedy Kampanja wygląda, jak pustynia, i tak aż dopóki nie spadną jesienne deszcze i trawa znowu się nie zazieleni.

Tak nam opowiadał p. Brizzi, podsekretarz stanu dla spraw rolnych w Ministerstwie Gospodarstwa Społecznego. On tu nas przywiózł, pokazywał, objaśniał. Zostawiliśmy nasze auto na drodze i weszli na jeden z niezliczonych pagórków, taki sam, jak wszystkie inne pagórki. Staliśmy tak sobie, przyglądając się wielkiemu stadu owiec. Było ich z paręset, ale nie wyglądało, że ich tak dużo, bo się zbiły w kupę, nibyto nieruchomą, ale właściwie gotową, żeby popędzić nagle w jakimś kierunku, bez najmniejszej przyczyny, bez żadnego sensu ani celu. A jeżeli tego nie zrobiły, to tylko dlatego, że pasterz trzymał za rogi barana przewodnika i potrząsał zlekka jego łbem, przez co dzwonił jego dzwonek umieszczony na rzemiennej obroży. Tak postępując niejako „dzwonił baranem“ — a owce słuchały, jak zahipnotyzowane, stężałe w bezruchu, a jednak nie porzucające myśli o ucieczce.

Przez cały dzień było pochmurno i szaro, ale wtedy właśnie, już pod wieczór, wyjrzało słońce i zachodziło za któryś tam pagórek, po-

godnie, wietrzno, chłodno. Po niedawnym deszczu, czy też od rosy, trawa była mokra i zielona — zielona...

I tak mi została w oczach już na zawsze ta rzymska Kampanja: zielona, z temi owcami, dzwonkiem i zachodzącym słońcem. Miało to w sobie specjalny wdzięk, trochę smutny.

Ale pan Brizzi, energiczny, gestykulujący, wygolony Włoch z czarnymi oczami, wcale się tym wdziękiem nie cieszył. ani zachwycał. Przedewszystkiem zaś w żadnej mierze nie pragnął go zachować.

Nie. Pan Brizzi spoglądał na puste bezdrzewne ziemie, w wyobraźni widział już żyzne, doskonale uprawione pola, kwitnące sady, ogrody, fermy... widział, jak rankami po wszystkich drogach wozy pełne blaszanek z mlekiem, warzyw, owoców zdążają do Rzymu, do Rzymu. Na targi, na rynki, do ha!..

— Wyobraźcie sobie państwo, że my musimy wszystko sprowadzać zdaleka, żeby żywić Rzym. Mleko z Lombardji, jarzyny — z okolic Neapolu. Za kilka lat doprowadzimy do tego, że będziemy tu mieli wszystko, ale teraz nic nie rośnie...

— Dlaczego nic nie rośnie?

— Bo to jest poprostu skała! Stoimy na skałe, na warstwie tufu wulkanicznego, grubej na metr, ledwie pokrytej warstwą gleby tak cieniutką, że tylko ta marna trawa może się w niej zakorzenić. A latem i ta trawa wysycha.

— Więc jakaż na to rada?

— Rozbić, rozwalić warstwę skały. Przewrócić ją tak, żeby musiała zwietrzeć, rozkruszyć się, na powietrzu, na wilgoci. Żeby się stała przepuszczalną i rozłożyła na zwykłą gruzelkową glebę. Trzeba też wierceć studnie, kopać kanały, nawadniać.

Prowadzi nas do miejsc, gdzie już zaczęto roboty meljoracyjne: połowa zielonego pagórka pozostała jeszcze jak była. A drugą połowę przeorywa właśnie olbrzymi parowy pług.

Wygląda to tak: u stóp pagórka z jednej strony dyszy i sapie parowy motor. Z przeciwległej strony odpowiada mu drugi taki sam. A pomiędzy niemi na grubej żelaznej linii chodzi ten pług, potężna maszyna, rozbijająca i krusząca warstwę skały blisko na metr głębokości. Złomy skalne trzeszczą i odwalają się, jak skiby, motory sapia, a gigantyczny pług aż dygoce z wysiłku, co chwila zatrzymuje się, często nie może podołać skałe odrazu, trzeba go nastawiać, cofać.

Odwalone skiby skały poleżą tak przez rok, zwietrzeją, rozkruszą się. Wtedy przeorze się jeszcze raz — ale już bez tego wysiłku, bez tego trudu straszego. Zwyczajnie.

Za dwa lata będzie tu rosło zboże — czy jarzyny.

Stoimy i patrzymy: wspaniała praca, imponująca, ogromna praca. I pomyśleć tylko, że ci Włosi mają tak przeorać całą tę skalistą Kampanję. Dwadzieścia tysięcy hektarów ziemi!

Oto, jak się do tego zabrał włoski rząd.

Kampanja należała do wielkich właścicieli, którzy na tysiącach hektarów tych jałowych pastwisk trzymali stada owiec. Otóż właściciele tych Rząd wywłaszczył częściowo, dając im odszkodowanie. Potem dopiero zaczęła się praca tych płu-



gów parowych, które stanowią własność państwa. Za ich pomocą zamienia się skałę, piędz po piędzi, w uprawną glebę.

Tak zdobytą ziemię parceluje Rząd na małe farmy od ośmiu do piętnastu hektarów i wydzierża wia na pięćdziesiąt lat. Każdy dzierżawca otrzymuje kredyt na wkłady, inwentarz itd.

Poszczególne farmy mają się grupować w osady, czyli tak zwane centra kolonizacyjne. Każda taka osada ma mieć swój kościół i swoją szkołę.

I tak — za kilka, może za kilkanaście lat, Kampanja zamieni się w żyzną, uprawną podmiejską okolicę, pełną ogrodów i ferm o czerwonych dachach. Zamieni się w spiżarnię miasta. Chciałabym ją wtedy zobaczyć — zobaczyć kwitnący sad w miejscu, gdzie widziałam dygocący z wysiłku, potworny pług, rozwalający skałę. Nie zapomnę jednak tej starej jałowej Kampanji z owcami, dzwonkiem i słońcem zachodzącym za zielony pagórek nie tknięty jeszcze żadnym pługiem.

*Helena Boguszewska.*

## ANIOŁ I DEMON BOHATERSTWA

Na upalnych wodach morza Chińskiego, otoczona niemal zawsze kleistą gorącą mgłą podzwrotnikową, o 200 mil morskich na południe — zachód od Manilli, stolicy wysp Filipińskich, leży niewielka wyspa Culi on. Prawie niedostępne są skaliste jej wybrzeża, o które biją wiecznie rozpiętane dzikie fale. Cicha jest i samotna, choć jak wielki szmaragd lśni w słońcu soczysta, bujna zielonością. Raz na miesiąc tylko przybija tu parowiec rządowy z Manilli, przywożąc towary, lekarstwa i pocztę. Nie wysiada na brzeg załoga. Nie rozsypują się po kwiatnych łąkach i gajach palmowych marynarze. Czasami, rzadko kiedy zostaje z ładunkiem jakiś podróżny — misjonarz, student, badacz uczony. Nie dla czarów szmaragdowej wyspy przybywa tutaj, nie przez ciekawość turysty, nie dla rozkoszy wywczasów. „Zostawcie nadzieję, którzy tu wchodzić” — szumią smętne cyprysy i zielone czuby osowiałych palm w głębi wyspy. Złowieszczą, jak spuszczone z łańcucha brętan, huczy i warczy groźnym ostrzeżeniem dzika bezdnia wód.

„Wchodzący tutaj zostawcie nadzieję”.

Po wojnie z Hiszpanją samotna wyspa stała się własnością Stanów Zjednoczonych. Rząd amerykański wywiózł na nią około 5000 trędowatych. Mieszkała w czystych jasnym domkach, tworzących mały ogród — miasto. Pełno tam ruchu, życia. Sklepy, warsztaty w rękach ludzi nieszczęsnych. Opiekują się nimi: lekarz, dwóch jego pomocników, dwanaście siostr miłosierdzia francuskich i kilku kapłanów.

Bohaterowie! Słodka gorycz poświęcenia stała im się światem.

Co skłoniło tych ludzi do zamknięcia się w żywym grobowcu? Nędza?

Dr. H. Windsorn Wade, lekarz naczelny, jest człowiekiem bardzo zamożnym. Posiada w Nowym Jorku piękny pałac, którego nie zobaczy już nigdy, bo nie wraca z wyspy trędowatych, kto raz wstąpił na nią.

„Wchodzący tutaj zostawcie nadzieję”...

W pełnym uświadomieniu postanowień i zadań swoich, w zrozumieniu, że nie rozsuna się przed nim wrota zawarte, podjął młody doktor leczenie chorych. Żona poszła za nim. On niesie ulgę zatrutym ciałom. Ona...

Rząd amerykański zbudował na wyspie niedawno stację telegrafu iskrowego. Obsługuje go młoda i piękna pani Wade. Jak dobra wróżka, łączy umarłych z żywymi. Czarem dotknięcia otwiera martwe oczy na świetlne miraży i mówi, co każą mówić wyspiarzom krewni, przyjaciele. Mówi o wrzecem

życiu świata żywych, o polityce, rządzie, sprawach społecznych. Oni — słuchając — cieszą się i płaczą.

Cicho, jednostainie płyną dni doktora. Dwanaście godzin wśród chorych, a część nocy w laboratorium.

Na jednym z przylądków norweskich, najbardziej wysuniętym na północ, jest również osada dla trędowatych, odcięta od świata, a w niej — z zaparciem się wszystkich ziemskich rozradowań, ponęt, uniesień pracuje doktor Hjalmar Sögerkrantz. Od świtu do nocy. Pomagają mu djakonisy i może jakiś lekarz asystent młodzieńki. Na wyniki badań tych dwóch prawie eremitów — jednego z nad równika, drugiego z nad biegunowych lodowców czeka świat. Dla nauki, czy dla czynu miłosierdzia poświęcili młodość swoją i wszystko, co wiązało ich ze światem. Zawarły się za nimi wierzeje, ale zosłała w książkach i na liście uczonych ich nazwiska. Po zakonnicach francuskich i djakonisch norweskich nie zostanie nic. Nigdzie nie zapisany akt miłosierdzia, dokonany w imię ukochania cierpiących, w głodzie ofiary, w pałę jej żądzy poświęcenia, w potrzebie samowyrzeczeń.

Nad kołyską tych ludzi stanął smutny anioł. Łzawe miał oczy i patrzył tylko w nędzę ludzką. A oni — jeszcze nie widząc już postrzegali mroczną dal jego wzroku. Jeszcze nie rozumiejąc, już szli za nim. Jeszcze w powijakach niemowlęctwa wiedzieli, że zrobią, co im wskaże. Wiedzieli, że spełnią ofiarę najcięższą, bo długą na całą długość życia. Nie poryw chwili, nie Żar — ptak migotliwego, jak dysk rzucony w przestrzeń uniesienia. Nie krótki nagły, jak uderzenie godziny, wybuch rozgłosny. Ich płomień ofiary to modlitwa, którą niebo powtarza, muzyka, którą wibrują święci.

Tak spełniał czyn swój poweella święty Franciszek, który na zapyłonych drogach Assyżu całował, tulił do piersi trędowatych, uczył ich kochać siostry — chmury i bracia wichry, radować się nimi, jak ci, którzy nie mają w sobie zarazy.

Tak bierną ofiarę spełniają owe 33 siostry zakonne w podziemiach klasztoru neapolitańskiego. Smutny anioł nad kołyską ich powiedział: „trzeba modlić się za grzeszne dusze świata, żeby były zbawione”. I schodzą w kwiecie wieku w mroczne podziemia, żeby nie wyjść z nich już nigdy. Córki najarystokratyczniejszych rodów, panny wypieszczane, możne, które zrozumiały bezdnę występku i znalazły jedyną drogę ratowania go żarem ducha, który strze-

ła w niebiosach ogniem wiary, rozbłyska rubinowo — błękitnym oparem nadziei, sięga w zaświaty, purpurową wstęgą miłości, gaśnie i zmartwychwstaje w złotych urnach pacierza.

Bierne bohaterstwo, ale anhellizm przeczysty.

Rozpalają się gwiazdy nad czołem bohaterów chwili. Staje nad kołyską niemowlęcia anioł z ja-skrawą pochodnią i mówi: „Spełnisz jedną krwawą ofiarę. Zginiesz śmiercią chlubną za wielką sprawę. Czyn twój nie przepadnie. Będziesz jednym z nich, co zbawia własną ojczyznę”. Spełnia się nakaz anioła. Idzie chłopiec w bój za tę nad wszystko umiłowaną. Kula w samo serce. Gaśnie życie, gdzie indziej dla jakichś niewiadomych celów potrzebne. „Ukochani przez bogów umierają młodo”. Na ustach żołnierzyka uśmiech. Dusza odpływa w słońce. Żegna ją anioł, pochodnią promienną, choć w krew szedł i krew ma na rękach. Żegna. Błogosławi „Śpij, bohaterze”.

Czasami nad kołyską dziecka staje anioł żałoby. Krepa na głowie i ramionach. Czarną krepu obrzucona pochodnią. „Spełnisz czyn straszny—konieczny. Zginiesz w bratobójczej walce. Nie pytaj. Życie powie. Obowiązek rozgrzeszy. Abyś wierzył, że to jest mus, prawo, niezłomność przeznaczeń. Abyś był fanatykiem tej wiary!”

Ginie chłopiec. Kropla krwi skrzepłej na ustach i skurcz rozpaczy. Bierze go na ręce anioł żałobny, kładzie pod białym całunem! „Czysta twoja dusza, bohaterze! Broniłś prawdy. Niebo przebacza”.

I płacze nad tem, co się stało.

Nad kołyską niesfornego złego dziecka stoi szatan. Wie — jego łup. Mroczne otchłanie w tem sercu małem, niewiedzącem. Piekielna siła w piastkach zaciśniętych, które już grożą, już zdobyczy chciwe. — Dorasta mały Pochroń. Idzie w świat, a za nim grabież, mordy, czarna lista występków. Niema zbrodni, przed którą by ją cofnął. Niema prawa, przed którym by się ugiął. Skazany łamie kraty więzienne i dalej kradnie, zabija, bluźni przykazaniom boskim, depta ludzkie ustroje. Zbiera bandy opryszków, staje na czele ich i gnębi wsie, miasta. Kryje się z towarzyszami po lasach i norach podziemnych Nareszcie...

Pisma doniosły niedawno o szajce zbrodniarzy w województwie łódzkim, którzy — osaczeni przez policję, nie chcieli się poddać. Walka przeszła w oblężenie. Gdy na strzały odpowiadano strzałami, służba bezpieczeństwa publicznego podpaliła dom — kryjówkę zbirów. Nie poddali się i wówczas. Trupy ich znaleziono w zgłiszczach lochu piwnicznego pod spaloną chatą.

Też bohaterzy. Raczej śmierć, aniżeli pęgiery!

W kałużach życia wyładowali z siebie potworne mrowisko czynów, które szły, jak zaraza, na inne dusze, złem opętane. W szponach śmierci zdobyli się na wolę granitową bezkompromisowego wytrwania w nakazie wewnętrznym.

„Raczej śmierć, aniżeli kaźń publiczna!”

Tak wypracował się ich duch. Dla jakich celów? Czy — żeby odkupiony przez skon rycerski, zbył się władzy szatana i uleciał w zaświaty po formy innego czystego życia? — Czy żeby w przestworzach odbyć pokutę?

Stanął na straży ciał zwęglonych szatan, ale nie śmiał ich dotknąć.

C. Walewska.

ELLEN KEY

## ASSYŻ

2

Badania wykazały, że powaga i mistycyzm Sieny, zmysł rzeczywistości i umiłowania piękna Florencji, wenecka radość barw, flandryjska subtelność wykonania — wszystko to na sztukę umbryjską wpływ swój wywarło. Ale te wpływy przeróżne roztapiają się i rozkładają we właściwościach Umbrji. Co zaś wkońcu jako rzecz nowa wybija się na czoło — to sposób umbryjczyka wyczuwania przyrody swej ojczystej ziemi, widzenia jej barw i typów ludowych; to jedność pojęcia niebiańskości i ziemskości, tęsknota za czemś poza doczesnością, a jednocześnie pełne z nią współżycie. Innymi słowy te właśnie rysy zasadnicze, które są cechami prawdziwego mistycyzmu i najpełniej występują u największego syna Umbrji, Franciszka z Assyżu, którego ducha wyczuwa się w najlepszych dziełach mistrzów umbryjskich tak samo silnie, jak jego postać jest ośrodkiem sztuki, która powstała dokoła Assyżu.

Przed najpiękniejszymi obrazami sztuki umbryjskiej serce rozpiera radość, że były dusze równie piękne, jak te dzieła sztuki, że Franciszek i Klara, oraz kilka im podobnych istot w tych okolicach żyli. Ludzie, którzy wiedli chwytający za serce tkliwy żywot w teraźniejszości, zarazem z czemś niewypowiedzianem i niewymownem, co charakteryzuje

sztukę umbryjską, gdy jest ona najbardziej uduchowiona: to coś niewymownego, co jest wieczną siłą wielkiej osobistości i wielkiej sztuki wobec wszystkich ludzi, którzy umieją czuć i marzyć.

Nie znalazłoby się — przynajmniej w Europie — miejsca, gdzieby tradycja życia paru wielkich ludzi była tak pilnie przestrzegana, tak nienaruszona przez silne przeobrażenia i tak nieprzerwanie działała, jak to ma miejsce w Assyżu.

Stoi jeszcze — na Piazza — starożytny fronton kościoła, przed którym Giotto na jednym ze swoich fresków w górnym kościele Assyża każe głupcowi złożyć św. Franciszkowi hołd, zanim jeszcze ktokolwiek bądź rozumiał, co to za duch w nim zamieszkiwał. Krok za krokiem odnajduje się znowu przeszłość w teraźniejszości.

Miałam szczęście spotkać się w Assyżu z biografem Franciszka, Sabatier'em, którego dobroć potwierdza słusność pewnego pięknego, starego powiedzenia: przeobrażamy się w to, co lubimy. Sabatier, który od lat dwudziestu spędza zimy w Assyżu i zrobił w tym czasie tyle dobrego dla miasta, że jest tam uważany za rodzaj opatrności, zna każdy niemal kamień i każdą ścieżkę w okolicy. Zaprowadził mnie on do zamku, leżącego na szczycie

pagórka, na który Assyż trochę się wdrapuje z tego właśnie wzgórza ma się bogatą we wspomnienia okolicę niczem kartę przed sobą. Słowa nie są w stanie oddać tego uczucia równoczesności, które nas opanowuje, gdy się obejmuje jednym i tym samym rzutem oba te miejsca, gdzie urodzili się Franciszek i Klara Scaffi, te miejsca, gdzie oni pomarli i gdzie leżą pogrzebani, oraz te stare drogi, po których chodzili. I skoro już tylko przegląd tej okolicy, w której oni rośli i działali, przyroda, którą tak kochali, daje tak silne wrażenia równoczesności,—o ile więcej ma to miejsce w domach, gdzie dotąd jeszcze niemal wszystko pozostaje tak, jak oni to widzieli i używali. Mówię: oni, bo kto może tu oddzielić postać Klary od Franciszka?

Słusznie zupełnie porównano znaczenie Klary dla Franciszka ze znaczeniem Beatryczy dla Danta. Lecz jakże nikłą jest Beatrycze obok Klary, która przez całe swe życie najwierniejszą poświęciła Franciszkowi miłość; która żyła z nim w tak doskonałej wspólności dusz, że słusznie można ją nazwać duchową miłością, która może właśnie dlatego, że była tylko duchową miłością, nigdy nie straciła nic ze swej głębi i siły.

Franciszek już od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, porwał serce Klary tak bez zastrzeżeń, jak gdyby je dosłownie obiema rękami wyrwał z jej piersi. Od tego momentu był on dla niej jedynym na ziemi. Ażebym go naśladować — porzuciła ona wszystko i oparła się nawet gniewowi rodziców, gdy ci przybyli, aby ją zabrać do domu. Ona, młoda i piękna córka znakomitego szlacheckiego rodu, oddała w ofierze tkliwe, pielęgnowane istnienie w ojcowskim zamku, pragnienia swych miłości, własne marzenia o zwykłym szczęściu kobiety, aby w ubóstwie, cności i pokorze dorównać swemu mistrzowi, swemu bratu, swemu przyjacielowi.

Gdy Franciszek obciął jej przebogate złotoblond włosy, a postać jej przyoblekła się w szaty mniszki, napewno czuła się ona szczęśliwa, jak oblubienica, w tem przeświadczeniu, że związała się z wybranym swej duszy na całe wieki, połączona z nim wspólną wiarą, wspólną nadzieją, wspólną miłością, wspólną wolą i celem.

Jak dalece portrety Klary wiernie oddają rzeczywistość, dziś przecie nie można ustalić. Gdy się chodzi po dolnym kościele w Assyżu, po tym kościele, który podobny jest do sklepienia z ilw, w którego mistycznych, srebrnych światłach i ciemnozielonych cieniach wszystko staje się naraz tajemnicze i zmienne, natrafia się między innymi wspaniałością mi Cimabue'go, na malowaną przez Szymona Martini poważną Madonnę, otoczoną aniołami, których skrzydła lśnią w barwach zorzy wieczornej. Bezpośrednio obok niej widać szereg świętych w półpostaci. Poza nimi stoi Klara, jak lilja między prostemi kwiatami, Delikatne jej szlachetne oblicze świeci w swej bladeści więcej, niż złota aureola świętej, która je otacza; głowa wznosi się dumnie na długiej, wąskiej szyi, każącej się domyślać wysokiej postaci pod białą szatą, która ją otula. We wszystkich postaciach Klary malarze usiłowali z mniejszym, lub większym powodzeniem przedstawić ten typ, który najwidoczniej ma za sobą tradycję.

Franciszka zaś „prawdziwe“ portrety znajdując

się mają w zakrystji w Assyżu i w Sacro Speco in Subiaco. Ten ostatni szczególnie działa przekonująco. Oba ukazują twarz, która pod pendzlem wielkiego mistrza napewno miałyby silne podobieństwo do grającego na organach mnicha w koncercie Giorgiona. Andrea della Robbia w terakotowym posągu Franciszka w Maria degli Angeli po mistrzowski wydobyl te rysy, które współcześni niezgrabnie przekazali: czoło z zapadnięciem się pośrodku, które działa jak źródło światła, głęboko zapadłe skronie i wydęte policzki, długie, delikatne, swoiście w łuk wyciągnięte brwi, które szybko i często zbiegają się—rys znamienny dla łatwo pobudliwej wrażliwości.—A pod temi wrażliwemi brwiami para wielkich, cichych, pałających, pełnych światła oczu, prosty nos i wreszcie usta z lekko odchyleniami, miękkimi wargami, tylko nieznacznie pokrytemi skąpą, śpiczastą brodą. Wydaje się, że postać to była mała i chuda, ręce są wąskie, przypuszczenie tedy, że Franciszek był chory na piersi, mogłoby mieć pewne cechy prawdopodobieństwa. Jego powierzchowność przedstawiona jest jako tak pociągająca, że nawet twarde i dzikie serca tłoczyły się doń tak, jak strumienie z gór opadają w doliny.

Możemy więc w przybliżeniu przedstawić sobie, w jakiej postaci Franciszek i Klara wędrowali po białych górach pod ojcystemi dębami i oliwkami. Niemal że się czekało na to, że się ich znajdzie w tej samej postaci, na tych miejscach, gdzie przebywali. Szczególnie w San Damiano, miejscu zamieszkania, które Franciszek oddał Klarze i jej mniszkom. Tu odprawiały one nabożeństwo w tym niewielkim kościełku, tu spożywały skromny posiłek w małym refektarzu, gdzie pociemniały czasem sufit i buazerje, oraz lśniąco wymyte brązowe stoły i ławki są te same, co i przed siedmiuset laty.

Najchętniej wyobrażamy sobie Franciszka i Klarę na małym tarasie, gdzie ona miała swe kwiaty—kwiaty zawsze znajdowały miejsce w klasztorze Franciszka—i skąd jest widok na doliny i góry. Wierzy się, że się ich tu widzi jeszcze, modlących się razem w świetle poranka, lub prowadzących ze sobą pod gwiazdami dialogi, może zupełnie bez słów.

Przypuszczamy, że i na tym tarasie Klara plecie Franciszkowi namiot z liści, aby bez przeszkód ze strony słońca mógł dzień cały spędzać na świeżym powietrzu i wyleczyć się z ciężkiej swej choroby. Tu wreszcie, w San Damiano, Klara widziała Franciszka po raz ostatni, gdy jego zwłoki niesiono z Porciuncola na miejsce spoczynku w Assyżu, a Klara wystąpiła by złożyć pożegnalny pocałunek temu, którego obecność dla nich wszystkich była, „jak rosa dla wysuszonych kwiatów“.

W chwili tej, powiadają, płakali wszyscy z Klarą, tą Klarą, która miała przed sobą jeszcze tak wiele lat smutku, wspomnień i bólu, gdy patrzyła na to, jak własni uczniowie Franciszka zdradzali jego męśli.

Sabatier utrzymuje, że z obojga przyjaciół, Klara — szlachetna dziewczyna, w której żyłach płynęła krew książęca — była naturą silniejszą; że podczas gdy np. Franciszek czynił ustępstwa wobec prób papieża w kierunku podjęcia skrzydeł jego nauce — Klara broniła jej zasad, nawet przed papieżem, z siłą i godnością.

(c. d. n.)



# OKRUCHY ASTRONOMICZNE

## WOJOWNICY NA MARSIE.

Groźna gwiazda, która krwawo odbija blask niewidzialnego dla nas nocną porą słońca, to planeta Mars. Na tej samej zasadzie bliskiego z nami sąsiedztwa jest, jak księżyc nasz, przedmiotem długowiecznych dociekań na temat, w istocie swej niewyczerpalny: jakie są warunki rozwoju życia na Marsie? a nawet, wręcz, kto tam mieszka!?

Nietylko poeci i filozofowie, między nimi firma tak poważna, jak Kant, zajmowali się bezowocnym tym problematem: Flammarion, zasłużony w dziedzinie obserwacyjnej astronom, dotyla rozplomienil nim umysl własny i do tego stopnia zarazil marso-manją szerokie kręgi miłośników nieba gwiazdzistego, że stał się... winnym fantastycznego konkursu, wobec którego w kłopotcie znalazła się Akademia Francuska. Niejaka pani Guzman z Bordeaux, straciwszy syna, który niemniej, jak ona, zapalonym był zwolennikiem tych „badań”, przeznaczyła fundusz żelazny stu tysięcy franków, jako nagrodę dla tego, kto znajdzie sposób skomunikowania się... wcale nie z Marsem!! z każdą inną, prócz Marsa, planetą. Czemu? bo Guzmanowie tak bardzo mocno wierzyli, że porozumienie się z Marssem sprawą jest najbliższych dni... że niema o czem mówić! Nie są wyjątkami. Szczęściem, procent od funduszu żelaznego, im. Pawła Guzmana, przeznaczony jest astronomowi francuskiemu, który w ciągu pięciolecia największe położył zasługi.

Mżonki rzeczowe tem są wyjątkowo bujne, iż Mars, choć tuż za nami obiega słońce po drodze swojej, wszelako w tem słówku tuż kryje rzeczywistość, wynoszącą 377.000.000 klm., a w najlepszym wypadku 55.000.000 klm. Jakże tu i przy wyborach narzędziach obserwować dokładnie ustrój fizyczny planety, a tembardziej ślady zaludnienia!? Ludzie zapału mają dziecięcą wiarę w bezwzględne doskonałenie się wszech rzeczy, a zatem i naszej techniki obserwacyjnej... Tymczasem sprawa wyrazistości obrazu przy dużych powiększeniach, „zblizeniach”, wygląda beznadziejnie.

Jakże tłumaczy się tak znaczna różnica odległości w położeniach Marsa dla obserwacji naszej najwygodniejszych i najmniej dogodnych? Tłumaczy się tem, że droga eliptyczna, którą zatacza Mars dokoła słońca, nie wszędzie bynajmniej na jednakiej bieży odległości od drogi ziemskiej, raz dlatego, że jest elipsą znacznie bardziej wydłużoną, niż elipsa ziemska, zblizoną do postaci kołowej, powtóre, że nie jest względem naszej drogi koncentryczną, nie posiada wspólnego środka, ale, przeciwnie, bardzo ekscentryczną. Najlepiej wyraziłby rysunek, czemu Marsa najdogodniej obserwować, gdy środki słońca, ziemi i Marsa leżą na jednej linii prostej i w tym właśnie porządku, czyli gdy Mars znajduje się w t. zw. opozycji, lecz tak, mianowicie, że Mars osiąga przytem położenie swe najbliższe słońca (periheljum), czyli położenie przysłoneczne, ziemi zaś położenie odsloneczne (ajeljum). Pozycja taka powtarza się raz na dwa lata, przyczem zachodzą znaczniejsze wahania w obrębie dłuższego czasu, 15-17 lat, oraz dwustu lat: w bieżącym dwuchsetleciu (1800—2000) najdogodniejszą pozycję względem nas zajął Mars 23 sierpnia 1924 r.; następna opozycja szczególnie dogodna będzie miała miejsce 23 lipca 1939 r. Tłumaczy się te opozycje wyjątkowe pewnymi osobli-

wościami ruchów Marsa i ziemi, zależnie od wzajemnego ustosunkowania się tych ruchów.

Pytamy z kolei, w ciągu jakiego czasu odbywa Mars wędrówkę swą roczną dokoła słońca? Zabiera mu to aż dwa nasze lata bez 43 dni, czyli 687 dni. Dni marsowe mało się zresztą różnią od ziemskich, dokoła osi swej bowiem obraca się Mars w ciągu 24 g. 37 m. 2 s. Olbrzymie planety, Jowisz, Saturn, toczące się dokoła słońca dalej jeszcze, niż Mars, nadzwyczaj prędko zato wirują dokoła własnej osi: doba trwa tam ściśle 10 godzin! Żwawy ruch.

W związku z zaznaczoną postacią eliptyczną oraz ekscentrycznością drogi Marsa, osobliwie kształtują się dlań pory roku. Najlepiej uzmysłowi to następująca tabliczka:

Półkula pld.	wiosna	145,6	dni	jesień	półkula płn.
"	"	lat	160,1	"	zima
"	"	jesień	199,6	"	wiosna
"	"	zima	181,7	"	lat

Wynika stąd, iż półkula południowa ma wiosnę i lato krótkie i stosunkowo gorące (Mars najbliższy słońcu), jesień i zimę dłuższe o 75 dni, bardzo chłodne (kurs najdalszy słońcu), słowem klimat ma „ładowy”, ostry, półkula zaś południowa, wręcz odwrotnie. Nasze pory roku, z powodu wspomnianego kształtu naszej drogi, są nieomal równe, różnica odnośna liczy zaledwie 4 dni.

Jakaż może być temperatura na Marsie? Mars odległym jest od słońca średnio o 228.000.000 klm., czyli o 78.000.000 bardziej, niż ziemia. Raz jeszcze, z racji kształtu drogi Marsa, różnica między maximum, a minimum odległości wynosi aż 42.000.000 klm., co poważnie odbijać się musi na ciepocie. Nadto powierzchnia Marsa znacznie jest mniejsza, niż powierzchnia ziemi i średnica jego wynosi 6.753 klm. (ziemska średnica 12.700), objętość bryły zatem jest 6½ razy mniejsza, niż bryła ziemska, czego skutkiem byłoby, jeśli przyjmujemy teorię Laplace'a o współczesnem powstaniu wszystkich planet układu słonecznego, że ogień wewnętrzny o tyle mniejszego Marsa wychłódl już w stopniu odpowiednio większym..., że więc ciało to znajduje się na szczeblu rozwoju fizycznego dalszym znacznie, niż nasza ziemia, skąd właśnie Kant kwapił się z teoretycznym prawidłowym wnioskiem, iż rozumni mieszkańcy Marsa prześcignęli nas znacznie w rozwoju duchowym...

Tymczasem skromne zagadnienie: o ile temperatura na Marsie, oraz atmosfera, skład powietrza, pozwalają mniemać, że są tam wogóle istoty jakieg żywe, rozumne, czy nierozumne?... Temperatura średnia wedle ostatnich obliczeń Serba, Milankowicza, wynosi  $-17^{\circ}$  C. (na ziemi  $+15^{\circ}$  C.!!). W związku z ostatnią dogodną opozycją Marsa (sierpień 1924) sprawdzono bardzo doskonałą metodą obserwacyjną, że, istotnie, teoretyczne wnioski Milankowicza są słuszne. Koło bieguna temperatura Marsa wynosiłaby  $-70^{\circ}$  C., pod zwrotnikiem zaś, w południe  $+7^{\circ}$  C., a nawet  $+18^{\circ}$  C., co jednak nie dopuszczałoby jeszcze flory w naszym rozumieniu, skoro o wschodzie i zachodzie słońca temperatura spada o  $13^{\circ}$  poniżej zera. Raczej dopuszczalna jest flora sezonowa, i właśnie w okolicach podbiegunowych, w ciągu bardzo długiego „dnia” podbiegunowego, gdy słońce wciąż świeci i grzeje w ciągu dni trzystu z okładem.

Ciepłoty stosownej nie dość. Czy w powłoce powierzchni Marsa dość znajduje się pary wodnej? a nade wszystko, czy jest tlen? Ze znalezieniem odpowiedzi na to pytanie, wielki kłopot. Zapytanie drugie do dziś nierozstrzygnięte. Badań atmosfery dokonywa się metodą analizy spektralnej, czyli rozkładu, zapomocą pryzmatu, promieni, które wysyła dane ciało na t. zw. widmo (spectrum). Otóż, ujmując rzecz najprościej: każdemu pierwiastkowi, m. in. tlenowi, wodorowi, właściwe są pewne charakterystyczne linie widma. Sprawę utrudnia znacznie, że widmo promieni słonecznych, po przejściu przez atmosferę Marsa, chwytny dopiero, gdy przejdzie jeszcze i przez atmosferę naszą co utrudnia kwalifikację, skąd dana linja rodem.

Tyle wiemy napewno, że atmosferę Mars posiada: obliczono ją ostatnio na 100 klm. wysokości (ziemska wynosi 400 klm.); nadto, że jest lekka i przejrzysta, pogodna. Obłoki obserwować można zamiennie rzadko, obłoki w okolicach biegunowych zdają się wręcz produktem zamarzania pary wodnej. Wogóle woda, jeśli jest, znajduje się przede wszystkim, oczywiście, w postaci lodu, śniegu, szronu. Ci, co sądzą, że jej nie ma, opierają się na fakcie małej siły przyciągania na Marsie, która równa się  $\frac{1}{3}$  siły ciężkości ziemskiej, masa Marsa bowiem wynosi tylko 0,11 mocy ziemi. Lekkie pierwiastki, jak tlen, czy wodor, o który zasadniczo chodzi, nie mogłyby być utrzymane w atmosferze Marsa, uleciałyby w bezmiar.

Oponentów znacznie wspiera fakt, że zupełnie wyraźnie kształtują się na Marsie czepekki biegunowe ze śniegu, latem (dla tych okolic) ledwie dostrzegalne, zimą zalegają do 4000 klm. obszaru. Czepekki te zazębiają się, zmniejszają, topnieją w miarę postępu wiosny. Mógłby to ostatecznie być zmarzły dwutlenek węgla, który, gdy zamarznie, ma istotnie postać, jak gdyby śniegu; lecz ciśnienie na Marsie wydaje się, właśnie, niedostatecznym na to, by dwutlenek węgla mógł zamarznąć, co wymaga wszak odpowiedniego ciśnienia obok odpowiednio niskiej temperatury.

Obserwacje czepków biegunowych są zupełnie pewne. Wszelkie inne zato, w których dziedzinie wielkie zasługi położył Schiaparelli, wciąż są pod znakiem całego szeregu pytań. Areografja (Ares, Mars po grecku) posiada wprawdzie mapy, zasobne w bogactwo nazw: ale to, co nazwom tym odpowiada, ulega wciąż tajemniczym przemianom. Jakieś „morze” Słoneczne, jakiś obszar zwany Puszczą Pandory, czy Thaumazją, rozwidlają się, przekształcają, trują w oczach, w przeciągu kilkunastu nieraz lat zaledwie. Wina niedokładności wzroku, narzędzi, czy też zagadkowe procesy na powierzchni Marsa! W zatoce Jutrzenki była, z pewnością, wyspa jasnośniejąca (obserwacje z 1862. 64 r.). Niema jej dziś. Z tych rozgłośnych „kanałów” na Marsie, misternych, prawidłowych w zarysie, szerokich, bywa, aż na 320 klm., cudownie czasem zdwajających się równolegle w oczach Schiaparellego. Kanałów tych, przeważnie, jak wykazały najsilniejsze narzędzia w r. 1924, niema, prócz niewielu najwybitniejszych. Też same narzędzia wykazały zato linje prawidłowe na Jowiszcu, narzędzia, które „kanały” marsowe rozbić zdołały na szereg punktów, złudzeniem optycznym złanych w pozór linji prostej...

Sprawa to kanałów na Marsie najmocniej bodaj zaważyła na procesie umysłowym namętnie raczącym się hipotezami, na conto prawowitych, genialnych Marsjan, którzy w postaci owych dróg wodnych dokonali pracy, jakiejby u nas w ciągu lat

1000 ledwie 200.000.000 ludzi podolało!!! Ha, jeśli Marsjanie tak są genialnymi inżynierami, zapewnie są też i znamienitymi astronomami... Widzą nas!! Czekają hasła; ba, dają nam znaki zoddali... Gdy w r. 1892 ukazała się sławna „jasna plama” w okolicach Marsa, nazwanych Tempe i Noach's i trwała tam kilka tygodni, orzekła ludzkość nasza, chciwa nowych rzeczy że są to, stanowczo, sygnały... (Prawdopodobnie była to szczególna chmura, rozciągłości ok. 60 klm.). Serjo więc rozpatrywano sposoby odsygnalizowania Marsjanom, potężnymi reflektorami elektrycznymi z równin Syberji, czy też z pomocą olbrzymich pól, zasianych łubinem bodaj, kształtem prawidłowych trójkątów, a to w dziedzinie pampasów, czy preryj

Przed wojną europejską, która inną cośkolwiek strawę podsunęła umysłom, zdarzyło się, że w związku z opozycją Marsa w r. 1911, seanse spirytystyczne pełne były rewelacji o Marsie. Nawet medjum prof. Ochorowicza, Tomczykówna, rysowała w seansie Marsjan, skrzydlatych wprawdzie, ale dość podobnych kształtowi ludzkiemu, więc innych zgoła od głowonogich potworów, pomysłu powieściopisarza Wellsa. Tygodnik Ilustrowany podał wówczas rzeczowe rewelacje, z pośród których wyróżniał się też opis flory Marsa, z ulistnieniem brunatnym, żółtem i czerwonym, barwnik zielony (chlorofil) roślinności ziemskiej wymaga niewątpliwie atmosfery „ziemskiego” typu. Słótko możnaby tu dodać o czerwonym zabarwieniu samego Marsa, owym poblasku krwawym, w pewnych pozycjach planety wróżącym wedle astrologów, zagładę ziemianom... Słótko niewiele wyjaśni: dość, że czynniki atmosferyczne uwzględniane są dziś przez uczonych mniej, niż jakieś czerwone zabarwienie skorupy Marsa, np. w związku z ewentualnym pyłem hematytu, czerwonej rudy żelaznej krwawej.

...A cóż, gdyby Mars mściciel nagle „Trwodze zaprzęgać kazał i Przerażeniu rumaki, sam się w zbroję przyodział lśniąca”!? — jak opiewa XV księga Iljady. Cóż, gdyby ci znakomici w dziedzinie rozwoju technicznego Marsjanie zamierzali nagle sąsiadów odwiedzić!?!... Sympatja, powiadają ci owi, każe nam, ziemianom, szukać nawet i po innych planetach podobnych nam arcytworów miłości bliźniego. Przypomina to cośkolwiek historję pocziwca, który siedział sobie w białym domku śród cichego ogrodu, gdzie doskwierały mu wprawdzie muchy, komary, gdzie użerał się ze złodziejem rządcą i kłótnicą gospodynią... aż nagle zachciało mu się stosunków towarzyskich... i ściągnął sobie na kark hałaśliwe, natarczywe sąsiedztwo, deptające po piętach, przewracające żółć stekiem plotek i oszustw, komarów nad komary.

Siedźmyż, ponoć, ile potrafi, cicho, w obrębie własnego partykularza, z którym i tak coś niebardzo doszliśmy do ładu. Zadawajmyż się widokiem naszego błękitnego nieba, zielonej zieleni, oraz jednym nad słowikami księżycem. Niechże jakie chcą archeopteryxy, czy inne smoki latające kwilą marsjanom w ich nocie księżycowe. Otóż jeszcze trochę, o księżycach marsowych, o Trwodze i Przerażeniu, Fobosie i Dejmosie, bo tak je właśnie nazwał odkrywca. A stało się to w r. 1877, w dniu 11 i 17 sierpnia, kiedy wybitny obserwator, Hall, zwątpił już był w prowadzenie na chybił trafił rozpoczętej pracy. Molstowała co, by się jeszcze choć trochę uzbroidł w cierpliwość — żona. Płeć „słaba”, geniusze wytrwałości, wyradzające się w braku poważnych celów i zainteresowań, w sławetny uór babski.

Małe te ciała, towarzysze Marsa, wcale osobiwszem karmią Marsjan widowiskiem, że jednak zwykli doń, urok osobliwości przepadł dla wielu. Ponieważ są tak małe — średnica Fobosa wynosi 8,3 klm., Dejmosa — 7,2! — tak małe, że w przeciągu 11 godzin osiągają w ruchu swym dokoła Marsa wszystkie odmiany: kwadra, pełnia, nów, trwają tam po 3 niespełna godziny! — zatem, zgodnie z rzeczywistością, na zachodzie wschodzą, a na wschodzie zachodzą w oczach Marsjan, ponieważ ruch ich jest szybszy, niż ruch obrotowy Marsa.

Fobos tak jest bliski Marsowi, że nawet i jeden glob marsowy nie zmieściłby się, jako pomost między niemi, odległość wynosi bowiem 6065 klm. Już co Marsjanie to z pewnością najdokładniej widzą księżycowe „góry“ i „morza“, „wsie“ i „miasta“, jeśli posiadają choćby takie tylko narzędzia optyczne, jak my! Dejmos, dalszy, widnieje w odległości 20.325 klm. Szczególnie efektownymi, jako zjawiska niebieskie nie są: Fobos przedstawia się Marsjanom, nie inaczej, niż nam księżyc nasz, tylko słabiej; Dejmos tak, jak nam Wenus, nasza „gwiazda“ zaranna i wieczorna. Nie zapominajmy jednak, że my świecimy Marsowi — i właśnie, jako gwiazda



poranków i wieczorów, że widzą też Marsjanie jasny rój maleńkich planetników, szybujących dokoła słońca, pomiędzy ziemią, a ogromnym dla nich Jowiszem.

Widzą te cuda Marsjanie, albo i nie widzą. Wiara w zaludnienie światów tem jest, niewątpliwie, piękna, że rozszerza nam egocentryczny, ciemny, śmieszny krąg widzenia. Rzetelny cud oczywistości sprawiło Odrodzenie, spychając nakoniec pyszałkowatą naszą maleńką ziemczkę do roli służebnicy słońca z uzurpowanej godności ośrodka świata, któremu służą niebiosy!!! człowieka zaś prowadzają do rozmiarów prochu nie tylko w obliczu Potęgi Bożej, ale wobec majestatycznego ogromu stworzenia, kędy znikomą jest wartością, nie zaś „królem“, któremu kwoli stworzył Bóg świat roślin i zwierząt, niby wielką spiżarnię.

Tem przedziwniejszy cud, że znikomy ten proch synem się poczuwa Bożym, gdy serce swe miłościwą hojnością wobec reszty stworzenia przepelni, wolę na czyni wieczny wyostrzy, a myśli orłowe znamię kornie do stóp skłoni Tej, co światel bezłiku w nas i nami zapala — Światłości!

12. V. 1926.

Z. Reutt-Witkowska.

A. GUGLIELMINETTI

## UCIEKAJMY RAZEM

**N**a wielkim balu, urządzonym na rzecz „Ubożych artystów“, Folco Stanis spotkał się twarzą w twarz z ciotką swoją baronową Eulalią Damiani, której od półtora roku — ku swej radości — nie widział.

— Najdroższa ciociu!

— Drogi mój siostrzeńcze! — Czy

wiesz, że cię szukam od kilku miesięcy?

— Podróżowałem po Włoszech w celach artystycznych i zawodowych. Ale czemu mnie szukałaś?

— Mam dla ciebie rozkoszną żoneczkę, pannę piękną, młodą i bardzo oryginalną, taką jaka ci się podoba.

Stanis zerwał się na równe nogi.

— Uspokój się, niema jej tu, — zaśmiała się ciotka. — Wraz z matką spędza zimę w San Remo, i jest jedyną córką piwowara Dollischi, posiadacza wielkiego majątku.

— Jakaś ty dobra, ciotko Eulaljo!

— Pomyślałam o tobie, znając cię, jako zręcznego mistyfikatora, urodzonego aktora, który potrafi odegrać nie byle jaką rolę.

— Żartujesz, ciociu. Ale czemu chodzi tu o grę?

— Nie grzeszysz dzisiaj domyślnością. Diana Dollischi musi mieć złudzenie, że zakochałeś się w niej od pierwszego wejrzenia i gotów jesteś popełnić jakieś szaleństwo. A wszystko to, nie zdradzając najmniejszej skłonności do jej milionowego posagu.

— Doskonale, zrozumiałem. Rola przyjemna, skoro panna jest piękna i bez przesądów.

— Więcej nawet: oryginalna, aż do dziwactwa. W karnawale, na jednym z balów zjawiła się we fraku, przebrana i ucharakteryzowana na siedemnaścieletniego chłopca. Nikt jej nie poznał i wszyscy

myśleli, że to pewien młody arystokrata rosyjski zbiegły zagranicę!

— Diana Dollischi interesuje mnie. Czuję, że już ją kocham, — oświadczył Folco.

— Zaczekaj trochę, uczynisz to w San Remo, — odparła żartobliwie ciotka.

W tydzień później Folco Stanis był już na tropie swej domniemanej narzeczonej, poprzedzony listem baronowej Damiani. Wchodząc do jednego ze zbyt kownych hoteli w San Remo, zastał pośrodku werendy niską, jasnowłosą damę, oczekującą nań przy filiżance herbaty. Na kolanach jej leżał list ciotki Eulalji, między łapami pieska pekińskiego, Snoba.

— Córka moja jest na koncercie muzyki klasycznej ze swoją damą do towarzystwa, — rzekła na wstępie pani Dollischi. Diana pozostała niewidzialna przez całe popołudnie.

Dopiero w czasie obiadu ujrzał Folco starszą damę w towarzystwie dwóch panien, wysokich i zgrabnych. Jedna była w sukni z blade fiołkowego kreponu, druga — z tafty koloru róży herbacianej.

— Która z nich jest Dianą Dollischi, a która — damą do towarzystwa? — pytał sam siebie zakłopotany Folco. — Nie noszą biżuterji, nie zdradzają też — ani jedna, ani druga — bądź nieśmiałości, bądź uległości. Obie są pełne wdzięku, ale ta z lewej, w kolorze jasno-fiołkowym, ukradkiem spogląda na mnie z zainteresowaniem.

Ceremonja prezentacji nastąpiła później, pośród oszklonej werandy, gdy Folco przyniósł na rękach pekińczyka Snoba, który właśnie zaplątał mu się między nogami.

— Pan Folco Stanis, literat... Córka moja Diana. Słowa te wymówiła matka z pewnem wahaniem, wskazując na pannę w sukni koloru róży herbacia-

nej. Diana ledwo skinęła głową, przeglądając przy fortepianie jakąś partyturę.

— Panna Gaby Wilson.

Ta, która ujawniała przedtem tak żywe zainteresowanie, wyciągnęła z czarującym uśmiechem rękę.

W owej chwili — niewiadomo, czemu — Folco wspomniał epizod karnawałowy, opowiedziany mu przez ciotkę Eulalię. Pomyślał:

— Gdyby to była istotnie przyzwoitka Diany, jak chcą we mnie wmówić, nie przyglądałaby mi się, za plecami panny, z tak miłą impertynencją. Mój Folco, baczność!

Pochylił się ku Gaby i, choć przemyślał nad głęboko patetycznym zdaniem, zapytał wprost:

— Pani jest Amerykanką?

— Tak i nie, — odparła niedbale Gaby z doskonałym akcentem. Ojciec — Amerykanin, matka — Angielka. Lecz uczyłam się w Rzymie i uważam język włoski za swój.

— Istotnie — potwierdził uprzejmie Folco — wymawia go pani lepiej ode mnie, choć uprawiam zawód literacki.

— Doprawdy? — zdumiewa się panna, szeroko otwierając błękitno-zielone źrenice.

— A co pan pisze? Wiersze? Ja uwielbiam poezję i mam się w duszy za poetkę.

— Nie, piszę skromne komedje i szukam właśnie interesującego tematu.

— Mogłabym zaofiarować panu coś bardzo ciekawego.

— Własne przeżycie?

— Tak, moje i przyjaciółki. Brak tylko jeszcze końca — musi być zupełnie niespodziewany.

— Opowie mi pani któregoś dnia swój temat, przydatny na moją komedję?

— Naturalnie, napiszemy ją razem.

Na pierwsze ranne spotkanie przybyła zaróżowiona i zadyszana, wyznając, że cudem udało się jej wymknąć z pod oka pani Dollischi, której czytuje dzienniki.

— To okrucieństwo, żeby istota inteligentna i subtelna, jak pani, żyła w warunkach takiej uległości, — pochlebiał Folco. — Jesteś stokroć piękniejszą od panny Diany.

— Proszę tego nie mówić, — odparła Gaby, uśmiechając się sztucznym grymasem skromności.

— Nie jestem nieszczęśliwą. Diana jest dla mnie bardzo dobra.

— A mnie wydaje się dumna i despotyczna. O, nie mógłbym pokochać jej, ani ożenić się z istotą, pławiącą się, jak ona, w swem złocie.

— Przesadza pan, jak wszyscy poeci, — zaprotestowała łagodnie Gaby.

Nastąpiły spotkania coraz to tkliwsze, oo ranych — wieczorne, w parku, gdy cały hotel pogrążony był we śnie. Pchnęły go niebawem do ostatecznej decyzji.

— Uciekajmy razem, Gaby, — zaproponował, upajając się zbliżającym zapachem młodego ciała. — Teraz wyzna mi prawdę, — pomyślał Folco pełen niepokoju. — Dałem jej nieodparty dowód swej miłości i ta podejrzliwa dziewczyna musiała przyznać, że ma przed sobą marzyciela, gotowego wziąć ją nawet biedną.

Lecz Gaby po pięciu minutach milczącego niezdecydowania rzekła:

— Tak, mój ukochany. Jutro uciekniemy razem.

Folco stłumił w sobie odruch wściekłości, myśląc: — Pragnie aż do końca [rozkoszować się] tą emocjonującą przygodą.

A nazajutrz rano, usadowiona obok niego w pustym przedziale, zwierzyła się:

— Zostawiłam w hotelu bilet pożegnalny, donosząc paniom Dollischi, matce i córce, że wyjeżdżam z tobą w zaczarowaną krainę szczęścia i miłości.

— Dobrze zrobiłaś, — pochwalił Folco, myśląc jednocześnie, że żart w istocie rzeczy posunął się zbyt daleko. Ścisnął dłoń drzemącej dziewczyny i rozmyślał:

— Gdy znajdziemy się sam na sam w pokoju hotelowym, wówczas ona odkryje mi mistyfikację, ja okażę zdumienie i uśmiejemy się z całej tej historii. A może byłoby ostrożniej wyjawić incognito przed zapisaniem swych nazwisk w hotelu...

Dojeżdżali już do stacji, gdy towarzyszka Folca otworzyła oczy, wykrzykując z radosną niecierpliwością:

— Przybyliśmy już? Nareszcie!

Szybko wyszli ze swym lekkim bagażem miłosnych zbiegów i wskoczyli do nadwreżonego wehikułu, ciągniętego przez mlzernego siwka

— Jakiż biedaczysko smutny i zrezygnowany! wzruszyła się Gaby.

— Białą koź przynosi szczęście.

Folco wybrał go umyślnie, aby jechać wolniej, jednocześnie każąc woźnicy skierować się dłuższą drogą, wzdłuż wybrzeża.

— Mów! Mów! — zachęcał ją w duchu, lecz miotany już gniewem, którego nie potrafił utrzymać. Śpiewaj, moje piękne dziewczę, bo inaczej ja cię do tego zmuszę!

Ale piękne dziewczę nie śpiewało, jeno uśmiechało się do niego z wyrazem pytającego zdumienia.

— Głodna jestem! — wykrzyknęła żywo Gaby, gdy mijano jakąś kawiarnię.

Zatrzymano siwka i w półciemnej salce zamówiono ranne śniadanie. Folco otoczył ramieniem kibić Gaby, chciwie pijącej białą kawę z bułeczkami.

— Czy wierzysz, skarbie mój, że cię kocham?

Otarłszy usta niebieską serwetką, oświadczyła spokojnie.

— Nigdy o tem nie wątpiłam. Jesteś najszczerszym mężczyzną, jakiego tylko znałam.

Folco, nie mogąc dłużej pohamować irytacji, zawołał:

— Ty zaś — najrzęczniejszą mistyfikatorką, jaką kiedykolwiek widziałem.

Dziewczyna odwróciła się nag'e zdumiona: — Co też ty mówisz?

— Mówię, że w sytuacji, do jakiej doszliśmy, nie wolno już kłamać. Wiem, kim jesteś i wiem, czemu chciałaś odgrywać przez cały tydzień tę dziwną komedję. Przysięgam ci, że kiedy zapłonęłam miłością od pierwszego twego spojrzenia, byłaś dla mnie Gaby Wilson, damą do towarzystwa panny Dollischi. Byłaś nią jeszcze wczoraj, gdy ci zaproponowałam ucieczkę. Dziś już nią nie jesteś. Przeczulem, odgadłem prawdę. Chciałaś być kochaną tylko i wyłącznie dla siebie? Jesteś: nie możesz o tem wątpić. Diana, moja rozkoszna i niezwykła dziecina, powiedz, że mnie kochasz i że nie żałujesz naszego romantycznego szaleństwa!

W małej salce kawiarnianej nie zabrzmiał srebrzyście wesoły wybuch śmiechu, jaki zwykle towarzyszy wesołym przygodom, lub wdzięcznym nieporozumieniom miłosnym. Piękne usteczka Gaby wykrzywił pogardliwy grymas i tyle oczekiwane wyznanie zadźwięczało akcentem... wściekłości:

— Idjoto! Ja jestem właśnie panną do towarzystwa!

WANDA MIŁASZEWSKA

## GRANDE-GRILLE

5

*Szkic powieściowy.*

Po narodzie, odbytej w kredensie, postanowiono, że pan Grzebyczek roześle ludzi z żalobną wieścią, a gospodyni sama się uda do proboszcza omówić sprawę pogrzebu.

O dziewiątej Ludwika zeszła nadół. Baron leżał w salonie na wielkim łożu, okrytem wzorzystymi makatami. Umyty był, uczesany, dziwnie drobny w czarnym, zbyt obszernym surducie, pochodzącym z czasów, gdy potrzebował jeszcze kuracji dietetycznej. Po obu stronach improwizowanego katafalku paliły się anemiczne, wojenne świece w lichym gatunku, pryskające i pachnące spalonym tłuszczem.

Żółte ich płomyki chwiały się, nadając martwemu obliczu wyraz żywy. Dwie kobiety, modlące się przy umarłym, powstały z klęczek i usunęły się w głąb, ustępując miejsca baronównie. Postąpiła kilka kroków, klękała i ogarnęła spojrzeniem znajome rysy twarzy ojcowskiej. Wypogodziły się, złagodniały dziwnie. Szpetne skrzywienie ust znikło zupełnie.

— To był mój ojciec — pomyślała prawie ze zdumieniem. I umarł.

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie po raz pierwszy, że zostanie zupełnie sama w wielkim, zbyt wielkim dla niej domu.

Ale została w nim nadal. Nie myślała, jak teraz ułoży się jej życie. Usiłowała zapełnić pustkę płynących godzin jakąkolwiek pracą mechaniczną. Nazajutrz po pogrzebie ujęła w ręce ster rządów, poczęła wydawać rozkazy, interesować się drobnymi sprawami, które przedtem były dla niej zupełnie bez znaczenia.

Po odjeździe dalszych i bliższych krewnych odetchnęła nieomal z ulgą. Męczyli ją troskliwością, współczuciem, okazywanem zbyt natrętnie, pytaniami, co dalej czynić zamierza. Na te ostatnie odpowiadała prawie opryskliwie:

— Co? Zajmę się interesami majątku i będę gospodarować, jak ojciec.

Krewni uśmiechali się, niektórzy pobłaźliwie, inni z nieukrywaną ironją. Wkrótce zrozumiała znaczenie tych uśmiechów.

Stało się to po jednej, drugiej i trzeciej rozmowie z administratorem. Chociaż mało obznajmiona ze sprawami finansowymi, baronówna zrozumiała, że stan interesów, nieświetny dawniej, teraz był po prostu opłakany. Uczuła się, wobec nawału cyfr i długów, zobowiązań i strat wojennych, bezradna i bardzo nieszczęśliwa.

Niejednokrotnie przychodziło jej na myśl, że krewni mieli słuszność, radząc jej zdać zarząd majątku w czyjeś kompetentne ręce; niektórzy ofiarowali jej swą pomoc. Jakies dalekie, zubożałe kuzynki, przeważnie osoby leciwe, oświadczały gotowość zamieszkania z nią razem, inne, cokolwiek młodsze, radziły jej wyjechać, utopić smutek samotnienia w jakimś większym mieście, pełnym ruchu i gwaru.

Odrzuciła wszystkie te propozycje. W głębi jej serca tliła się wątpliwa isierka nadziei, że Gurka Francegh powróci. Dlatego postanowiła zostać i czekać cierpliwie, czekać go właśnie tutaj, bo tu jedynie mógł natrafić na jej ślad.

Tak przeszło lato i rozpoczęły się już posępne szarugi jesienne, gdy w okolicy zaczęły krążyć zrazu nieśmiało, potem coraz pewniejsze wieści, że Niemcy ostatecznie przegrali wojnę, że w dezorganizowanej armji tworzą się jakieś „soldatenraty”, a żołnierze, przypinając do czapek czerwone kokardy, odmawiają posłuszeństwa swoim dowódcom.

Któregoś dnia, gdy Ludwika zaszła, jak zwykle do stajni, Grzebyczek odezwał się tajemniczo:

— Jaśnie panienska słyszała, co ludzie mówią? Naród wziął się za Niemców i pierze psubratów, a przeważnie w Warszawie dostali dobre lanie. Był taki jeden, co chodził po miasteczku i opowiadał wszystko, jak było. Podobno w Warszawie ogromna bitwa. Niemcy się zamknęły w ratuszu i palą swoje drukowane pieniądze, od czego idzie taki swąd, że połowa miasta, przeważnie...

Nagle urwał, skoczył ku drzwiom i, przysłoniwszy dłonią oczy, jął się bystro wpatrywać w białą linię szosy, wiodącej do miasteczka.

— Co Grzebyczek tam widzi? — spytała baronówna, zdumiona zachowaniem się starego.

— Jak Boga jedynego kocham! — wykrzyknął, zapominając ostatecznie o etykiecie — wszystko prawda, co Tomek opowiadał dziś rano, jak wrócił z pocztą z miasteczka! Nie zełgał szelma, bo chyba Niemcy naprawdę wieją! O, jeden furgon, drugi...

— A ten samochód, widzi panienska? Nic innego, tylko wynosi się cała „Kriegskomanda!”

Przez cały dzień wrzało w okolicy, jak w ulu. Co chwila ktoś przynosił nowiny. Służba dworska, skupiona w pobliżu starej szopy, służącej za skład rupieci, debatowała: Spalą dom, czy nie spalą? Mordko, który miał ciągłą styczność z Niemcami, bo był ich generalnym dostawcą, opowiadał już dawniej, że gdyby wojsko otrzymało rozkaz opuszczenia miasteczka, to cała okolica pójdzie z dymem.

Zaczęto szeptać, że pałac jest podminowany, zarówno jak gorzelnia i reszta zabudowań. Ludzie patrzyli na siebie, niepewni, czy wierzyć tym wszystkim plotkom, czy też nie wierzyć. Jakiś młody parobczak zjawił się pod wieczór z karabinem i sporym zapasem ładunków, twierdząc, że to wszystko sam osobiście odebrał „szwabowi” i jeszcze go do brze poczęstował na pożegnanie.

— Może nas nie spalą, bo im widać pilno brać nogi za pas — orzekł Antoni po głębokim namyśle.

W miarę upływających godzin wszyscy powoli rozchodzili się uspokojeni, że automobil naładowany Niemcami nie myśli powracać, a wszystkie budynki stoją na miejscu, jak stały.

Jedna tylko baronówna Ludwika nie mogła usnąć. Leżąc w ciemnościach z otwartymi oczyma, wsłuchiwała się w ciszę, jak ongi, a gdy wiatr za oknem strącił ostatni listek, lub suchą gałązkę, chciała zrywać się i biec do parku i wołać: Gdzie jesteś, drogi mój? Czemu ukrywasz się przedemną?

Nad ranem wiatr ucichł zupełnie. Świt skradał się powoli i niechętnie rozgarniał ciemności bladymi rękoma, ukazując różowy pasek światła na wschodzie. Kontury nagich drzew poczęły się rysować coraz wyraźniej na spotniałych od zimna szybach.

Wtedy właśnie zaskrzypiał żwir na ścieżce. Ktoś rzucił kamieniem w okno. Zadzźwięczało cichutko

szkło, szyba zatrzęsła się od tłumionego chichotu. Kamyk odskoczył, jakby zdumiony własnym zuchwalstwem. W kilka minut później baronówna już była na dole. Biegła, zaczepiając kołkami czarnego szala o kolczaste gałązki róż. Biegła ku opuszczonej altance w pobliżu stawu. Wszak usłyszała sygnał — ich umówiony sygnał...

Nie pomyliła się. W altance oplecionej winem stał Gyurka. Wyciągnęła ramiona, w nieprzytomnym z radości szlochaniu powtarzając najdroższe imię. Odsunął ją zlekka.

— Cicho, rzekł — nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem.

W kilku krótkich zdaniach objaśnił, że, jako oficer, jest zmuszony ukrywać się, zanim nie dotrze do miasta, które jeszcze do chwili obecnej pozostaje we władaniu jego dowództwa. Przekradał się lasami, opuściwszy własnych żołnierzy, (ponieważ zażądali, aby złożył szablę. Niestety koń mu w drodze tak silnie zakulał, że musiał zostawić go we wsi. O ile dziś jeszcze nie dotrze do R. będzie zgubiony. Nie połączy się z towarzyszami, w pierwszym lepszym miasteczku zostanie schwytyany, pierwszy lepszy burmistrz każe mu złożyć broń.

Potrząsnął głową, czarne oczy błysnęły zło-wrogo.

— A przecież jestem oficerem i nikt mnie nie rozwiąże z przysięgi, prócz tych, którym przysię-głem!

Baronówna słuchała w milczeniu. Serce jej znowu przytłoczył nieznośny ciężar. Nigdy nie czuła silniej, jak w tej chwili przepaści, która ich dzieli. „Moja ojczyzna zrzuca jarzmo niewoli — myślała — a człowiek, którego kocham, służy w armii najeźdź-ców.“

— Tak — ozwał się Jerzy Francegh, nawpół do siebie — za wszelką cenę muszę być jeszcze dzisiaj w R. To jedyny ratunek dla mnie. Przecież nie mogę dać się rozbroić lada chłystkowi... Muszę się dostać do R. Tam jest nasza komenda, wiem o tem z pewnością. Ale kto zaręczy, że jutro o tej porze...

— Gyurka, o, Gyurka — mówiły jej oczy, pełne rozpaczki niewysłowionej, że oto musi go utracić, już teraz nieodwołalnie, na zawsze.

— Czy możesz mi dopomóc? — zapytał, a gdy milczała, powtórzył mniej pewnym głosem: — Czy nie chcesz mi dopomóc, Lizo?

(c. d. n.)

MARJA KUNCEWICZOWA

## PRZYMIERZE Z DZIECKIEM

Osoba owa raczej lubiła wyświadczać łaski. „Wyjątkowo w piątek i tylko dla panny Brońci“, przychodziła prac na Hożą, choć ulubiony jej magiel znajdował się na Złotej. Z tegoż magla czasem przynosiła o dwie chusteczki więcej, i często zgadzała się jeść na kolację szynkę, zamiast serdelków. Teraz proponowała osobiste prasowanie na sztywno.

Widocznie na przyjęciu propozycji zależało, bo z pomiędzy ruchliwych zębów ślina strzykała aż na środek pokoju, a koniec nosa krzywił się, jak u psa. Jednak zdania bulgotały dziarsko, sposobem krakowiaczków, i ani myślały namawiać.

Teresa spojrzała na „talję“ pani Kwiatkowskiej, poczem stwierdziła:

— Praczka potrzebuje pieniędzy.

I pewnie. Była w ósmym miesiącu. „Paletot“ ledwie zipsał z wyteżenia, kiedy spuchnięte palce dopinały go gwałtem na ostatni guzik.

Trzeba już hędzie prędko babki z lekami, i pieluchów, i Alembiku dla kumotra.

... Tymczasem urażony wzrok pani z zaciekłością węszył katastrofę w kształtach przyszłej matki...

Z patrzenia spływała zupełnie materjalna gorycz — wstręt gorzki, niczem chinina... Praczka wydawała się głowonogiem, stworą ze złego snu, która lepkiemi mackami dusi wszystką radość życia. Już połknęła hiacynty, zaraz wyssie resztę czerwieni z nieba i dotknięciem oślini dywany.

Teresa skurczyła się w fotelu i z brwiami, jak czarne kreski, ślubowała: „Nie. Nie. Po tysiąc razy nie chcę“.

### II.

Tapę'y były bieluchne, łóżko wygodne. Na stole w wielkim dzbanie stał snop mieczyków, pod ścianą dwa złocenie w donicach. Wsparta o poduszki, Teresa czytała.

Za oknem — krotochwilne, a pracowite — gazdowały ptaszeczki. Dzień powszedni kroczył gładko, jak stary wodzirej, nieświadom nawet tego, że, chodząc po ulicach, płąsa.

O tę samą szybę, co wczoraj roztrzaskało się znowu niebaczne słońce, te same kucharki krzyczały na innych schodach, na tym samym zakręcie zirytował się znowu, jak zwykle (inny) konduktor tramwajowy, i takuteńki dreszczyk przed klasówką niósł ze sobą do szkoły Górszczak (tylko że wczoraj to był Rontalerczyk).

Wyświeżone, najnowsze sunęły po niebie obłoki, chociaż zeszłego wieczoru poszły spać czarne od sadzy i smutku. Na wiślanym brzegu zasiadł rybak; patrząc z sympatją na wodę, wolną ręką gła-skał wygięty konar wierzbowy, który onegdaj okaleczył ramię topielca. Z piętra na piętro przeszcze-kiwały się pieski. Czasem gwizd przyszedł zdaleka, zdaleka, i widać było, że podróżni jeszcze jedną noc przekiwali głowami w wagonie. Widać było także, jak daleką drogę mają przed sobą pociągi, mali chłopcy, Wisła i wszystkie dni powszednie. Podpły-wała ta droga sama pod koła, pod stopy i fale — niby ruchomy chodnik w magazynach Luwru; więc ludzie biegli i gazdowały ptaszeczki.

Leżała też i Teresa w szpitalnym pokoju, wy-gładając rychło li runie na struchlałą ból jakiś cu-daczny. Długie miesiące rządziło się w niej cudze życie, a teraz, kiedy — wedle starego planu — miało ją zgwałcić i porzucić — tak była zagapiona, tak od nowa podziwem najstraszliwszym przejęta, jak czło-wiek, który widział nieboszczyka w godzinie jego śmierci, a w zgon ten wierzył dopiero na pogrze-bie. Leżała, nasłuchując, czy nie odezwie się sygnał alarmowy we wrogiem ciele, czy nie trzeba będzie bronić siebie przeciwko własnemu wnętrzu. Po ko-rytarzu biegały kroki, rozpowiadał głos męski za

ściana, zapach smażonych potraw plątał się koło okna, a chryzantemy patrzyły na wszystko z grymasem litości.

Nikogo nie było przy łóżku, gdzie dwie istoty — jedna bezsilna i druga jeszcze nie urodzona — czekały, drżąc, nakazu, by zewrzeć się ze sobą w najsroźszej walce. Ani gniewu, ani strachu, ani miłości niczyjej nie starczyło na smutek u wezglowia Teresy, której ciało i wola rozszaleć się miały w obmierzłym trudzie rodzenia. Więc przyszła taka chwila, że samotnica zwróciła oczy ku chryzantomom i po raz pierwszy wdzięcznie przyjęła litość.

Noc, która nadeszła, wywiodła Teresę purpurową ścieżką w samo jądro puszczy, do najdzikszego ostępu. Nad ustami pochylił twarz srogi brat życia — ból fizyczny. Ludzie chorzy na migrenę, suchotnicy w eleganckich pledach, zdradzone przez kochanków panny i rodzice synów marnotrawnych zostali wśród pszenicznego pola; na spotkanie wyszli nowi towarzysze: lwice, wichry tropikalne, śmiertelny upał dżungli i ranni żołnierze. Rozstąpiła się ściana kniei i z za kwitnących ljan wyjrzało piekło. Ogień jęzorem syczącym obślinał zwolna nogi; wśród płomienia pokazały się oczy Joanny i tysiący czarownic — oczy te po raz pierwszy wyznawały sekret o torturze. Braterskiemi słowami zagadał murzyn poszarpany na sztuki wrazym tomahawkiem i sta-

ły się bliskie wszystkie dusze psie, wilcze i tygrysie. Łono, niby potworna soczewka, wsysało wszystką okrutność świata. Natchnione, rozpaczliwe tłoczyło swoją nagość w doktorskie źrenice.

Między ziemią, a niebem jedna tylko trwała rzecz — na śmierć wezbrane życie. I w mózg Teresy — sino-czarny od męki — wstępowała krwista prawda o ciele. A także prawda o samotności. Bo w obręczy spojrzeń leżała tak samotna, jak trup Araba na piaskach Hoggar'u.

Kiedy żuła cicho swój ból, wodząc półżywą źrenicą po twarzach, siadały na jej czole, na szyi i piersiach niefrasobliwe myśli pielęgniarek. Zdawały się mogło, że to motyle tańczą nad ściernem. I obcość była podobna czarnej chuście apasza, która dusi krzyk, nadzieję i trwogę. W świetle elektrycznym fachowcy skakali, niczem samo złe, harujące bezwstydnie po drogach.

O którejś tam godzinie mierzchnąc poczęły żarówki; z siności świata wypłynęła gałąź i smukłym ciałem przylgnęła do szyby. Pierwsza istota bez żółci. Więc Teresa cała wybiegła przez oczy ku słodkiej nieznajomej. Aliści gałązka syknęła po węzowemu, skrzyła się, niczem bat i w tysiącnych rzutach ją zaciekle siec biodra i ręce kobiety. Najwyraźniej za szybą również nie było miłosierdzia. Rodząca ze wstydem cofnęła wzrok od brzasku, i — podobna ślimakowi — zamknęła się w skorupie bólu

(c. d. n.)



Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

20

Walczone właśnie o Beaugency, gdy niespodzianie oznajmił swe przybycie konetabl Richemont ze znacznym hufcem.

Książę ten był już od kilku lat w zupełnej niełasce i król zabronił kategorycznie przyjmować go do armji. Na zdrową refleksję Joanny: — „Trza iść kupą!” — d’Alençon oświadczył, że raczej wycofa się z kampanji, niż dopuści Richemont’a do współdziałania. Lecz przykrą tę sytuację przecięła nowa niespodzianka: zbliżał się Falstolf, tym razem już naprawdę, prowadząc Anglikom 5-0 tysięczne posiłki. W tych okolicznościach hufiec konetabla stawał się pomocą nie do pogardzenia: nawet d’Alençon rozumiał, że byłoby lekkomyślnością ją odrzucać. Cały sztab wyjechał więc na spotkanie, a Joanna powitała go uprzejmie:

— Nie jam was wzywała, wszelako, skoroście już przybyli, to witajcie!

Wspólnie więc bombardowano żywo Beaugency, które, 17-go wieczorem, poddało się. Załoga wyszła z bronią, na słowo, że przez 10 dni wstrzyma się od walki. Lecz główna siła, z Talbotem i Falstolfem na czele, wycofała się już przedtem, a teraz uchodziła pośpiesznym marszem w stronę Jauville (ku Paryżowi), unikając bitwy. Uniknęliby jej chętnie i francuscy wodzowie, gdyby nie silny nacisk ze strony Joanny.

Ona, ta sama, co marzyła o pojednaniu i płakała nad rannymi — dziś od świtu goreje, jak pochodnia, niepohamowaną żądzą zniszczenia przeciwnika. Wyczuwam w tem coś więcej nad przekonanie, iż tylko w ten sposób dopełni się jej misja: nieporównane wino wojny uderzyło już do głowy dziewczynie — już to nietylko dawna natchniona wysłannica, nie tylko duch — wybawiciel, ale i rycerz — wódz!

Słońce wznosi się, upał doskwiera, a Francuzi prą naprzód niestrudzenie, silni jej własnym zapalem. Wśród męczącego pościgu, w pędzie koni, war krwi kipi w niej raz po raz wykrzyknikami niecierpliwości i zachęty — to znów wyższe jakieś sfery dyktują jej krótkie, a mocne prorocтва.

— Gotujcie wszytcy dobre ostrogi!

— Co mówisz?! — przeraża się ks. d’Alençon — zaliż nam przyńdzie uchodzić?

— O, nie tak! uderzajcie na nich, bo to oni ujdą, nie zatrzymując się i pobici będą, przez nijakiej dla was straty — przeto potrza wam będzie ostróg, by ich ścigać...

Na falistej, nieuprawnej równinie „Beance”, poprzerywanej wąwozami, trudno było dojrzeć nieprzyjaciela; jęgoń szła tylko po śladach, w ciętym strachu, by się Anglicy nie wymknęli. W owem to podnieceniu wykwił z serca rycerki ten nieśmiertelny okrzyk wojennego ducha.

— W imię Bogal będziem ich mieć, choציaby się uwiesili na chmurach!

Wreszcie, widząc może zniechęcenie u towarzyszy, oświadcza uroczyście:

— Miłościwy królewic odzierzý dzisia tak wielkie zwycięstwo, jakiego nie miał dawno <sup>1)</sup>. Moja Rada im rzekła, jako oni wszyscy już nasi!

Jakoż dognali ich Francuzi popołudniu, w pobliżu Patay. Tu sprawiedliwość dziejowa wzięła godny odwet za Crécy, Poitiers, Azincourt i Verneuil... Jak wówczas Francuzi, tak teraz Anglicy przegrali sromotnie, wbrew wszelkiej właściwie logice taktyki. Tu nie liczba wprawdzie była po ich stronie, ale czynnik ważniejszy jeszcze: przewaga w terenie i, rozstrzygający tyłkroć, moment niespodzianki.

Oni bowiem widzieli dobrze nadchodzącego nieprzyjaciela i, obrawszy sobie naprzód bardzo silną pozycję, potrafilo się tak ukryć w gąszczu, że Francuzi byliby literalnie wpadli na ich straż przednią, gdyby nie przypadek. Oto jeleń, spłoszony przez jazdę La Hire'a dostał się jednym skokiem pomiędzy zaczejonych Anglików, wywołując odruchowe ich okrzyki. Uprzedzeni w ten sposób Francuzi, natarli z impetem tak niepohamowanym, że Talbot nie zdołał zatrzymać ich na sobie, jak zamierzał. Ściągnąwszy więc co prędzej pobity swój oddział, pognął, co tchu w koniach, ku sile głównej, by wraz z nią opór stawić.

I tu okazało się, co znaczy ta jedna tajemnicza, nieobliczalna wartość: duch wojska... Armja cała, uszykowana na dogodnej pozycji, widząc ten hufiec kilkuset w odwrocie, a za nim może, podnoszące włosy pod hełmami, widmo niezwycięzonej Dziewicy, pierzchnęła w jednej chwili bezładnie, zanim tamci dopadli. Istotnie, ostrogi francuskie były w robocie, a miecze unurzały się we krwi. 2.000 Anglików, zarżniętych prawie bez oporu, legło na placu — mężnego Talbot'a ujęto, a Falstolf, z garstką swoich, za ledwie uszedł z życiem.

A Ona, ta straszliwa?... ze zdumieniem widzimy ją po raz pierwszy w tylnej straży, nadążającą leniwie na sam koniec krwawej roboty. Czy się zapóźniła umyślnie, by nie przewodzić rzezi? trudno przypuścić coś innego, skoro sytuacja była tak prosta, a koń jej lepszy chyba i ściglejszy od innych.

Odbieżały ją snąc groźne anioły pomsty i pościgu. Pierwsza zawsze tam, gdzie czuła niebezpieczeństwo dla sprawy francuskiej i dla siebie — tutaj cofnęła się przed triumfem zbyt łatwym i zbyt brutalnym. Wszak tu istotnie, wedle słów współczesnego poematu, Anglicy

... „ne se défendirent plus, que chiens morts“ <sup>2)</sup>.

Widząc jednego z ich rannych, obalonego nielitościwym ciosem pięści eskortującego żołnierza, Joanna, zeskoczywszy z konia, energicznie ujmuje się za nieszczęśnikami, sprowadza księdza i sama podtrzymuje głowę konającego, podczas Ostatniego Namaszczenia.

To był jedyny jej udział osobisty w bitwie pod Patay.

Mieszkańcy Jauville zamknęli swe bramy przed niedobitkami angielskiego wojska. Dowódcy kilku mniejszych załóg okolicznych spalili swe twierdze i uchodzili co najspieszniej na północ.

W ciągu ośmiu dni Dziewica Francji wzięła 3 miasta warowne, wygrała walną bitwę w otwartym polu i oczyściła od nieprzyjaciela cały pas kraju, między Loarą, a Sekwaną. (c. d. n.)

<sup>1)</sup> Właściwie nie miał nigdy!

<sup>2)</sup> „...nie więcej się bronili, niż zdechłe psy“ — Krystyna de Pisan.

## W ODMĘTACH REWOLUCJI 1905 ROKU

„Robotnik“ skończył właśnie druk „Wspomnień“ p. Aleksandry Zagórskiej, Komendantki rozwiązanej w r. 1922, Ochotniczej Legji Kobiet.

Mało kto ze znających p. pułkownika Zagórską, twórczynię i dowódczynię Legji Kobiet, wie, że posiada ona w historii życia swego jeszcze inną, bardzo niezwykłą i pełną niebezpieczeństw kartę.

Nie doktryna Marksa pociągnęła autorkę „Wspomnień“ do organizacji bojowej P. P. S. — ją, której dusza kocha przedewszystkiem wielkość, potęgę, władzę, — ale raczej atmosfera burzy politycznej, oraz hasło walki z caratem o niepodległość Polski. Walka — oto żywioł, którego poszukiwał jej bojowy temperament.

Ogół społeczeństwa był wówczas tchórzliwy, spodyony niewolą, zlakomiony na zyski rynków wschodnich; entuzjastów niepodległości nie mieliśmy wielu, ani wtedy, ani potem...

To też dla natur wyjątkowo mocnych i bujnych nie było wtedy w Polsce dróg, chyba właśnie te konspiracyjne, nad przepaściami, drużyny Polskiej Partji Socjalistycznej, na których, z pod szubienicy rozlegał się od czasu do czasu okrzyk ostatni: niech żyje niepodległa Polska!

Młoda słuchaczka Uniwersytetu krakowskiego weszła w r. 1905 na te właśnie drogi.

Więc najpierw z Krakowa przez granicę do zaboru rosyjskiego — transporty „bibuły“ i broni! Uda wało się zawsze. Potem gdy „piękno burzy dziejowej“ pociągało coraz bardziej, nie może przysła Dowódczyni O. L. K. usiedzieć w „spokojnym Krakowie“: z początkiem 1906 przenosi się do Warszawy. Jako chemiczkę odkomenderowano ją do pracy w konspiracyjnym laboratorium materiałów wybuchowych.

Mieszkanie konspiracyjne gdzieś na Mokotowskiej — dni całe, spędzane w powietrzu zatrutem szkodliwymi wyziewami, pod grozą każdych chwilewej eksplozji, pod grozą rewizji żandarmskiej. „Myślałby kto może — pisze pamiętnikarka — że takie życie na wulkanie było czemś specjalnie uciążliwym... — Wprost przeciwnie — o niebezpieczeństwie nie myślało się prawie nigdy, a praca szła wesoło i ochoczo“.

A gdy już straszliwy owoc tajemnych wysiłków był gotów: „Z domu, mieszczącego laboratorium, wychodziła rankiem pocztowie wyglądająca kumoszka, z książką do nabożeństwa i koszem wiktuałów, z którego nader pokojowo wyglądała marchew, kapusta... Niewiasta szła do kościoła, klękała przed ołtarzem, gdzie już zwykle klęczała inna jejmość z podobnym koszykiem... Wychodząc jedna zabierała koszyk drugiej“...

Od jednej z pierwszych bomb melinitowych, wyrobionych w tajemniczym laboratorium, zginął na ulicach Warszawy komisarz policji Konstantinow, słynny z okrucieństwa i badania podejrzanych przy pomocy tortur.

Z tego również laboratorium pochodziła bomba, przeznaczona dla generał-gubernatora Skalkona.

Autorka wspomnień tak opisuje dzieje zamachu na nienawistnego satrapę Warszawy: „Były przygotowane, podwójne silne bomby melinitowe w drewnianych skrzynkach. Każda skrzynka mieściła jedną bombę bez zapalów, drugą z zapalami, co było najzupełniej wystarczające do eksplozji Skalkona nadjechał (było to na ulicy Natolińskiej). Wykonawczyni zamachu, Wanda Kraheńska - Dobrodzicka oczekiwała



na balkonie, z bombą w ręku na jego wyjście z domu konsula i w chwili przejazdu powozu rzuciła bombę. Nie słysząc huku eksplozji, rzuciła natychmiast drugą i równocześnie towarzysząca jej przez okno rzuciła także bombę. Siła wybuchu była tak wielka, że wszystkie okna w najbliższych domach wyleciały, pokrywając odłamkami szkła ulicę.

Skafion został ogłuszony i długi czas chorował na uszy, ale pozatem wyszedł cało, ponieważ szybko jadący jego powóz zdążył oddalić się o kilka metrów, zanim bomby wybuchły. Fakt, że pierwsza bomba nie wybuchła, tłumaczyć można najprawdopodobniej tem, że pomyłono się przy składaniu nader skomplikowanego zapalnika. Zapalnik ten składano zwykle na miejscu, przed samą akcją.

Rewolucyjnej tej działalności towarzyszyły rewolucje wewnątrz samej organizacji. Przy końcu 1906 roku wyłamał się z partji prąd czysto niepodległościowy z Józefem Piłsudskim na czele. Ta, t. zw. prawica P. P. S., zmierza odtąd do otwartego powstania przeciw Rosji, tworząc Związek Walki Czynnej, a potem Związek Strzelecki — kadry przyszłych Legjonów. W akcji tej p. Zagórska bierze udział jako kierowniczką składów broni, którą w widokach przyszłej walki z Rosją przewożono z zagranicy i gromadzono z zaboże rosyjskim. „Do obowiązków prowadzącej składki należało czuwanie nad ich bezpieczeństwem, odbieranie i wydawanie broni, utrzymywanie jej w należytym porządku, wyszukiwanie miejsc pewnych na nowe składki”.

Bardzo zajmujący epizod „Wspomnień” stanowi opis zamachu w Łapach, na pociąg, wiozący t. zw. „Wołyński” pułk jazdy, używany do tłumienia rozruchów, a który odznaczał się katowskimi zgoła skłonnościami, stosując do ujętych rewolucjonistów wymyślne tortury. Zamach, w którym brała udział i p. Zagórska, nie udał się, a kierownik jego Montwiłł odpokutował zań śmiercią na szubienicy.

Epilogiem „Wspomnień” jest naturalnie, aresztowanie, dokonane w nadzwyczajnych warunkach. Młoda kobieta jest w ciąży... zaczyna doznawać bólów porodowych, gdy w nocy... rewizja! Doznającą najstraszliwszych cierpień wożą ją siepacze carscy, z Ochrony do Cytadeli, z Cytadeli na Dzielną. Żadne więzienie przyjąć nie chce rodzącej aresztantki. W końcu zostaje na Dzielnej i męczy się przez kilka dni, ponieważ władze dopuścić nie chcą lekarza z miasta, dla dokonania niezbędnej operacji. Dopiero groźba „głódówki”, postawiona przez współtowarzyszki niedoli więziennej działa skutecznie. Przybywa lekarz i uwalnia chorą od męki. Potem proces, uwolnienie na jeden dzień i ucieczka do Krakowa przed nowem już nakazaniem aresztowania i nowym procesem.

Tak wyglądają te ciekawe karty z przeszłości. Sądzę, że bez względu na sądy polityczne, jakie ktoś do ówczesnej akcji P. P. S. przykładać zechce, rzecz sama przedstawia się niezwykle interesująco i jest dowodem raz jeszcze, że kobiecie polskiej nie brakło nigdy odwagi i poświęcenia.

Nadstawia ona czoło wszelkim burzom, miesza się całą duszą do najniebezpieczniejszych akcji, gorąca, mocna, nieprzejednana, gdy raz uwierzy w jakąś sprawę, gdy raz ukocha jakąś idee, a ofiarna bezgranicznie, gdy chodzi o niepodległość Ojczyzny. Z kart „Wspomnień” wjrzała ku nam jedna z najoryginalniejszych i najsilniejszych postaci kobiecych współczesnej Polski.

H. C.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### HISTORJA JAK Z BAJKI.

„The Dawn”, miesięcznik australijski, zamieszcza w ostatnim swym numerze niezwykle sensacyjny opis podróży niejakiej pani Bell, młodej i dzielnej niewiasty rodem z Nowej Zelandji, która wraz z jedenastoletnią córeczką swą przejechała samochodem przez cały kontynent australijski, sama, bez żadnego towarzysza i obrońcy.

Olbrzymie, nieprzebyte i pustynne przestrzenie ładu australijskiego wzbudzają podziw i przestrach podróżników, przebywających je koleją transaustralijską — cóż dopiero mówić o przebyciu tych olbrzymich, niebezpiecznych lasów, puszczy i zarośli, zamieszkałych przez dzikich krajowców — samochodem!

A jednak odważna podróżniczka nie cofnęła się przed tem śmiałem przedsięwzięciem. Odwaga, posunięta aż do zuchwalstwa i zupełnego lekceważenia niebezpieczeństw najbardziej istotnych, jest zresztą cechą charakteru pani Bell, która już od dziecka lubiła wymykać się z domu rodziców i odbywać dłuższe wycieczki konne po okolicy. Jako bardzo młoda panienska, przejechała ona konno wzdłuż i wszerz obydwie wyspy Nowej Zelandji, nie biorąc ze sobą również na tę wycieczkę żadnego towarzysza, ani przewodnika.

Obeznaną świetnie z techniką prowadzenia samochodu, pani Bell już po wyjściu z domu odbywała kilkakrotnie dłuższe podróże automobilowe po Australji, narzeniem jej jednak było przejechać zupełnie samej cały kontynent australijski. I oto w końcu marzenie to — napozór szalone i nieziszczalne — spełniło się. Dnia czternastego listopada ubiegłego roku wyrusza pani Bell zupełnie sama, jedynie w towarzystwie swej jedenastoletniej córeczki, (która odziedziczyła po matce odwagę i... upór, nie chciała bowiem za żadne skarby świata zgodzić się na pozostanie w domu, wobec czego rozkochana matka musiała ulec błaganiom jedynaczki) — wyrusza więc, powtarzam, a raczej wyruszają obie małym, lecz silnym i doskonalej konstrukcji samochodem z Perth przez całą część zachodnią Australji na północ, przebywając część wielkiej pustyni Wiktoryjskiej, pustynię Gibsona, pustynię Piaszczystą i docierają do Północnego Półwyspu. Stamtąd po kilkodziowym wypoczynku w Palmerstonie udają się ponownie na południe przez całe terytorium wschodnie, półwysp Yorku, Queensland i aż do Walji Południowej, gdzie się zatrzymują w Sydney. Dwunastego stycznia wyjechała pani Bell z Sydney' u do Melbourne, stamtąd do Adelajdy, gdzie zabawiła dwa tygodnie, poczem przez południową część kontynentu wróciła do Perth.

Gdyby jakiś lotnik mógł śledzić z aeroplanu za wszystkimi perypetjami podróży pani Bell, ujrzałby widok zaiste niezwykle młoda, trzydziestokilkuletnia kobieta, prowadząca z całą swobodą i spokojem samochód przez pustynie, stepy, lasy i bezdroża, przebywającą skaliste wąwozy, przepływającą na promach rzeki — a przy jej boku, jako nieodstępną towarzyszkę, małą dziewczynkę z jasnym warkoczem i dużemi, niebieskimi, śmiało patrzącymi oczyma na opalonej od wichru i słońca buzi!

O podróży swojej opowiada pani Bell rzeczy tak nieprawdopodobne, że, czytając je, ma się w imowoli wrażenie jakiejś bajki z tysiąca i jednej nocy, przełożonej na czasy współczesne. Przygody odważnej Australijki nie ustępują doprawdy w niczem fantastycznym opisom podróży Sindbada Leglarza.

Pomimo przezornego i dostatecznego zaprowiantowania, jakie wzięła ze sobą w podróż pani Bell, zdarzyła jej się kilka razy konieczność ohywania się bez pożywienia przez dwa — trzy dni. Najgorszym jednak przejściem był absolutny brak wody, który obie podróżniczki musiały znosić przez dwa dni. Zapasy płynów, zabranych z ostatniego miejsca zaprowiantowania, wyczerpały się im szybciej, niż to było przewidziane, w piaszczystej zaś i pustynnej okolicy, w której się znalazły, nie można było natrafić nigdzie na źródło wody. I tutaj jednak Opatrzność czuwała nad dzielną kobietą i jej dzieckiem: po dwóch dniach nad wyraz przykrych męczarni pragnienia, potęgowanych jeszcze upałem, spadł nagle ulewny deszcz, który pozwolił podróżniczkom napełnić po brzeg wszystkie zbiorniki wody, jakie posiadały.

Innym znów razem musiała pani Bell przebyć płonące zarośla (t. zw. bush australijski) nad brzegiem rzeki Św. Katarzyny. Pożar wybuchł tak nagle, że, zanim pani Bell zdążyła się zorientować w sytuacji, otoczyły ją zewsząd płomienie. Nie straciła jednak odwagi i przytomności umysłu. — Zrozumiała odrazu, jakby jakimś podświadomym instynktem wiedzona, bo czasu na rozważanie doprawdy nie było — opowiada sama podróżniczka — że jedyną nadzieją ocalenia — jechać naoslep naprzód. Każda chwila zwłoki groziła niebezpieczeństwem życia, płomienie bowiem otaczały nas coraz ciasniejszym kręgiem. Polecając się Bogu, ujęłam tedy za kierownicę i, nie oglądając się za siebie, pomknęłam na przód całą szybkością, jaka mógł wydobyc z siebie pocziw mój samochód. Przez bliskie sześć kilometrów pędziłam tak wśród płomieni, jak opętana, przejęta jedną tylko myślą: za chwile benzyna, zawarta w zbiorniku, zapali się i wylecimy obie w powietrze! Bóg jednak jest miłosierny. Zwolna otaczając nas płomienie stawały się coraz odleglejsze — bush zaczynał się przeredzać — w końcu wyjechałyśmy na odkrytą polanę, gdzie zdala już tylko widać było płonące na widnokręgu krzaki. Obejrzałam się teraz dopiero po raz pierwszy na moją małą. Siedziała wyprostowana, poblada z lekka, ale z główką podniesioną do góry. Bez słowa padłyśmy sobie w objęcia. Gdy ją spytałam potem, czy bardzo się bała, odpowiedziała mi z całą prostotą: — wiedziałam, że przy tobie nic mi się złego stać nie może, mamusiu.

A oto inna jeszcze przygoda, która mogła się zakończyć bodaj najtragiczniej, a skończyła się całkiem pogodnie. Podczas przebywania najbardziej ustronnych i dalekich od wszelkich szlaków cywilizacji okolic natrafiła pani Bell na bardzo ciekawą scenę walki pomiędzy dwoma wrogimi sobie szczepami krajowców. Było to w pobliżu wzgórza Roya. Przedzierając się przez kotlinę górską, pani Bell ujrzała nagle przed sobą kilkuset dzikusów, uzbrojonych w dzidy, łuki i bumerangi, i walczących ze sobą zaciekle. Widok ten byłby zapewne przeraził niejednego podróżnika, pani Bell jednak nie stropiła się bynajmniej, i podjechawszy jak można było najbliżej ku zapaśnikom, którzy na jej widok przerwali walkę i przypatrywali się jej w najwyższym zdumieniu — wysiadła z samochodu i podeszła ku nim. Widok nigdy nie spotykanej przedtem maszyny, jadącej naprzód bez koni, którą krajowcy wzięli za tajemnicze dzieło jakiegoś potężnego boga, czy czarownika — wzbudził w nich przestrasz i szacunek, nikt więc nie ośmielił się narazie podnieść ręki na białą kobietę i dziecko. Niewiadomo jednak, czy przestrasz ten trwałby długo, w każdym razie pani

Bell wolała nie czekać, aż się dzicy oswoją z jej osobą. Wydobyła więc ze skrytek swego samochodu garść różnokolorowych paciorków i cukierków, i poczęła je rozdawać pomiędzy wojowników. To zjednało jej odrazu przyjaciół, a nawet niektórzy dzicy chętnie zgodzili się na zaofiarowanie pani Bell ciekawszych okazów broni wzamian za owe łakocie i błyskotki. Pomimo uprzejmych zaprosin krajowców, aby pozostała z nimi na zawsze, pani Bell wolała jednak pożegnać wojowników i odjechać czempredzej, szczęśliwa, że przygoda ta zakończyła się tak pomyślnie.

Z. B.

## Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Dzień bez kłamstwa” komedia w 3 aktach  
Montgomery'ego.

Jesteśmy, my, Europa światem przeżyłym, niemoralnym zjedzonym przez kulturę, zginieemy, jeżeli nie poddamy się ożywczym prądom, wiejącym z młodej i niezapętej Ameryki. (Tak twierdzą Amerykanie). Nie umiemy wychowywać niemowląt, nie mamy pojęcia o wychowaniu młodzieży; zapoznajemy olbrzymią moralną i higieniczną wartość sportów, nie rozumiemy dobrodziejstwa i konieczności pracy i podważania majątku, w starej naszej Europie wciąż jeszcze panują przesady, i wciąż jeszcze ludzie kłócą się o rzeczy nieistotne. Nie mamy poszanowania władzy, zatraciliśmy zdolność uwielbiania Tego, kto nami rządzi.

W Ameryce, przeciwnie. Tam każde dziecko dąży do posiadania licznych odbitek swego Pana i Władcy. Od niedzara poczawszy, a kończąc na bogaczu każdy uwielbia Króla Dolara, każdy zna jego siłę i potęgę. Imię jego ze czcią wymawiają wszyscy: dzieci, wyrostki, narzeczeni, ojcowie rodzin, kapłani, gwiazdy filmowe. Podobno wielu amerykańców zapomniało kim był Jerzy Waszyngton, ale pokazacie mi takiego, który nie wie co to akcja, kupon, procent, giełda, i t. d. Nie wypływa to z prostej chęci posiadania, w każdym amerykańczynie pokutuje kropla krwi awanturników, którzy ongiś wyruszyli na podbój nowego świata. Amerykanie lubią nie tylko pieniądze, ale i zdobywanie ich. Ryzyko, spekulacja to surogat przygodny, do której tęskni dusza jankesa. W ostatecznym razie, zakład. Zakładają się wszyscy, z pasją, namiętnie. I to nie o byle co. Czytając przeciętną powieść amerykańską, lub słuchając amerykańskiej komedji, doznajesz zawrotu głowy: 10.000, 100.000 dolarów... Cyfry te padają lekko, od niechcenia...

Młoda panna kwestuje na cel dobroczynny. Robi to z zapałem i wierzy w hojność współobywateli. Ojciec jest usposobiony sceptycznie. Ale, jeśli jedynaczkę zbierze w oznaczonym terminie 20.000 dolarów, on je podwoi. Termin się zbliża, a panna ma tylko połowę tej sumy. Trzeba ją uzupełnić, za wszelką cenę! W jaki sposób? Bardzo prosty: spekulując na giełdzie. Jest to jedyny normalny sposób, stosowany przez wszystkich. A że ktoś musi paść ofiarą, o to nikogo głowa nie boli. Trzeba grać na giełdzie szczęśliwie, albo nie grać wcale.

Ten „dolarowy” nastrój i atmosfera kłamstwa ciężą młodzieńcowi, imieniem Bob, któremu śliczna narzeczona powierzała szczerą misję podwojenia owych 10.000. Bob nie odmówi ukochanej, ale wybierze drogę inną (niemniej amerykańską od tamtej) zakłada się o 10.000 dolarów, że przez całą dobę nie skłamię ani razu.

Zgóry wiemy, że Bob ma przed sobą zadanie trudne, ale się z nim upora: Happy end (szczęśliwe zakończenie) wciąż jeszcze obowiązuje w Ameryce. Zresztą pan Montgomery napisał swoją komedję po to, żeby się ludzie bawili i śmieli (amerykanie szczerzej od nas). Więc trudności z jakimi Bob walczy nie są nieprzewyżnione. Zrobić afront pannie obojętnej, przyznać się do całowania innych dziewcząt, kiedyś, w dalekiej przeszłości, przed narzeczoną, wyspać przyszłego teścia, to jeszcze nie czyni bohaterem! Ale kłamstwo musi być w tej cnotliwej Ameryce zakorzenione bardzo, bardzo głęboko, skoro się pan Bob tak zmęczyl, broniąc prawdy i o mało nie zapłacił za nią szczęściem! W końcu fatalna doba się skończyła, a nasz bohater zyskał jedno ważne doświadczenie: istotną prawdą jest tylko Miłość!

Montgomery napisał swoją komedję dla amerykańców i nie jego wina, że się nam nie wszystko w niej podobało i że nie potrafiliśmy się bawić tak, jak słuchacze z za oceanu... Z czasem i to przyjdzie i świat amerykańkuje się z zawrotną szybkością...

Bobem, bardzo miłym i zabawnym, był pan Maszyński. Nie bez wdzięku, ale trochę monotonna narzeczona, panna Mazara ówni. Reszta wykonawców zbierała zasłużone oklaski.

Z. P.

MODY I ROBOTY



NR.560.

NR.561.

NR.562.

NR.563.



Nº 566.

Nº 567.



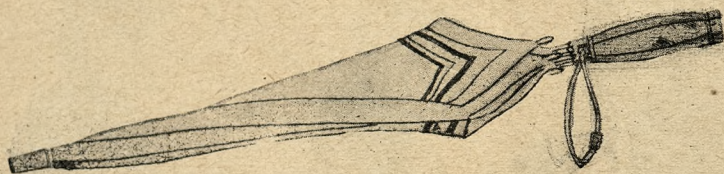
Nº 564.

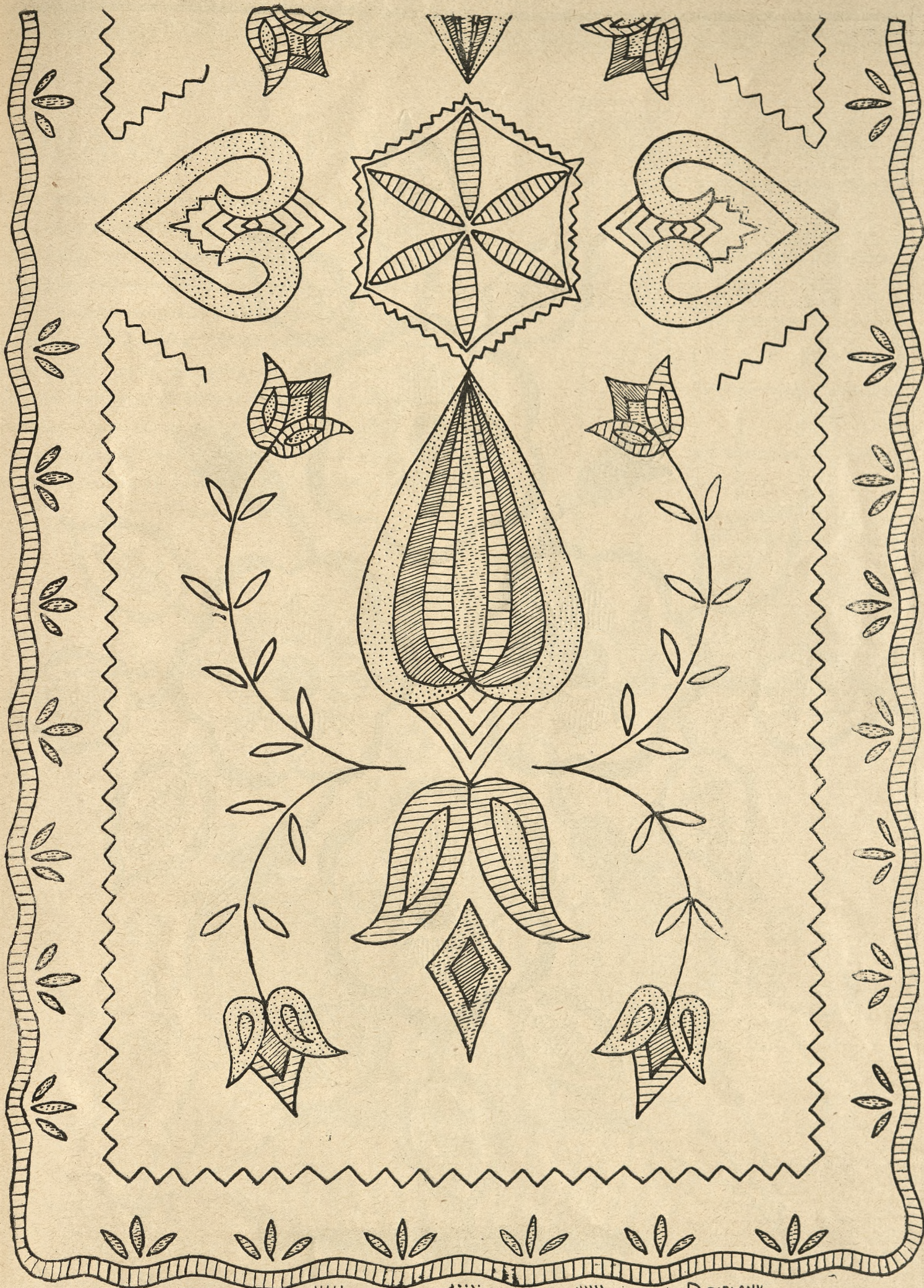
Nº 565.



Nº 568.







||||| ZÓŁTY.

||||| GRANATOWY

..... BRONZOWY.

||||| NIEBIESKI

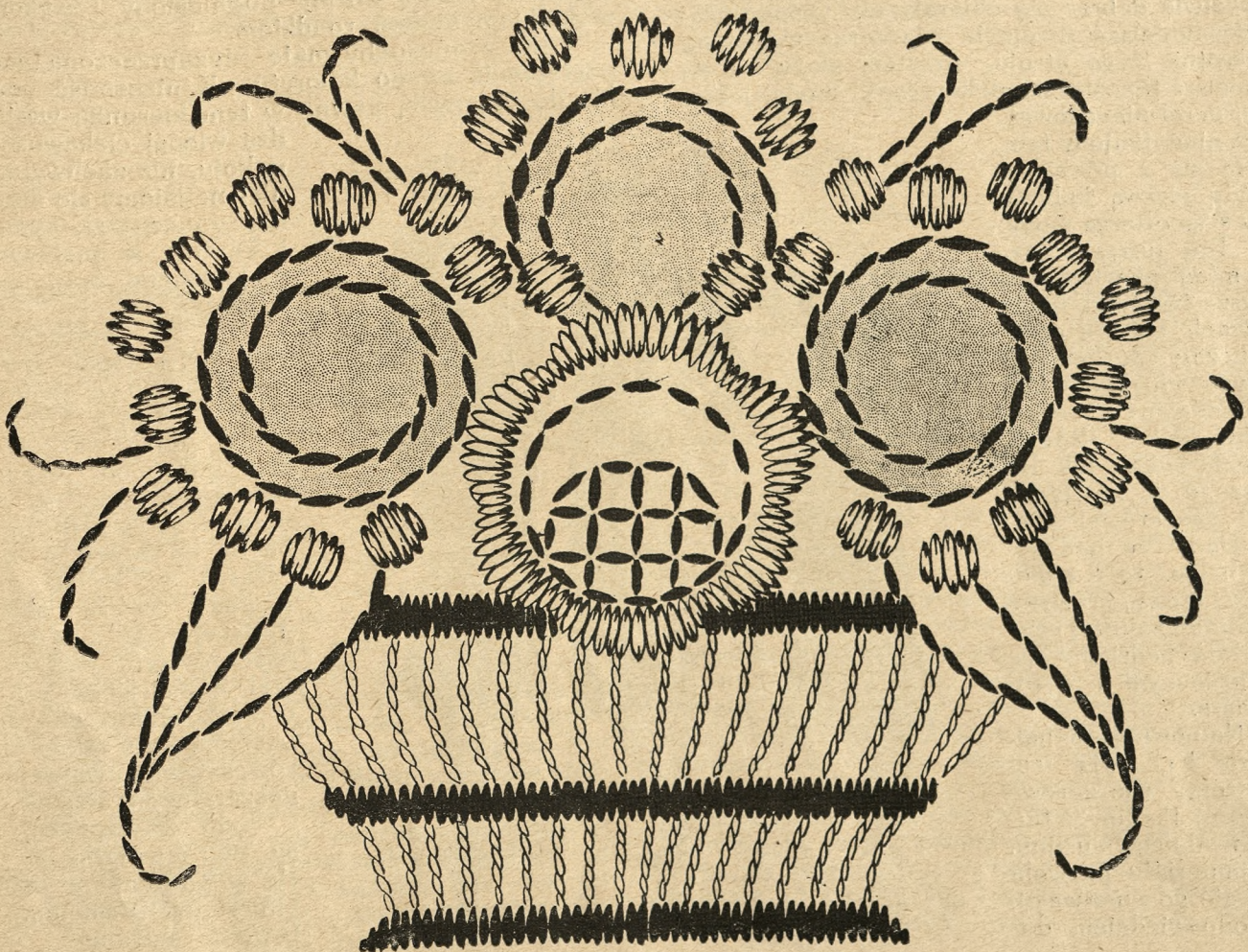
○ ZIELONY.





## FIRANKI HAFTOWANE

Łatwy sposób ozdobienia firanek, jaki tu podajemy, zachęci niejedną czytelniczkę do wykonania tej roboty. Firanki takie mogą być zrobione z batystu, z szarego płótna, z gniecionej, bawełnianej tkaniny—zwanej bombakiem, a nawet ze zwykłej surówki. Ozdobienie ich polega na wyszyciu szeregu koszyczków. Wzór naturalnej wielkości podajemy poniżej wraz ze ściegami, jakimi jest wykonany. Kolorów można użyć kilka, starając się zastosować je do urządzenia pokoju, w jakim firanki mają być powieszono. Haftować trzeba bawełną D. M. C., a chcąc, by nie puściła w praniu—należy ją sparzyć przed użyciem octem, zagotowanym z solą.



## Z OSTATNIEJ CHWILI

NAJNOWSZE PRZYKAZANIA

I. W przystosowaniu do sportu i podróży połączenie miękkiej skóry zamszowej z trykotem daje nowe, ciekawe, śliczne zestawienia.

Materiały imitujące skórę zamszową służą w tym wypadku wiernie modzie. Najnowsze modele sportowe, to kostjumy trykotowe, dopełniane bluzkami z wyżej wspomnianego materiału, który spotyka się niejednokrotnie fantazyjnie dziurkowany, co dodaje mu lekkości i wdzięku. Sławny siodlarz paryski zdobył się na wykonanie bluzki sportowej z cieniutkiego miękkiego zamszu, co przez czas dłuższy było czynnikiem przyciągającym dla adeptek modv sportowej i przyczyniło się do spopularyzowania i tak już znanego nazwiska cudotwórcy.

II. Kolor niebieski jest w ostatnim sezonie specjalnie faworyzowany, szczególnie ciemno niebieski w połączeniu z błękitem jaśniejszym o kilka tonów. Kostjumy z tak bardzo modnego materiału „kasha“, oraz najmodniejszy typ sukni, składającej się ze spódniczki i jumpra, wykonywanej najczęściej z crêpe de chine'u, widuje się w tych dwóch uprzywilejowanych kolorach. Zestawienie to zdołało wyrugować poczęści kolor biały, który w sezonie letnim cieszył się dotąd trwałym pierwszeństwem...

III. Czarna suknia, jest nieodzowną każdej osobie prawdziwie dobrze się ubierającej. Obiady prozane, skromniejsze przyjęcia wieczorne wymagają niejednokrotnie tego stroju, przytem służy on za najwspanialsze tło ostatniemu kaprynowi mody, jakim jest sznur pereł nieodzowny, nakazany, nieunikniony tam, gdzie licza się z przysięgą, jaką każda piękna kobieta złożyła u stóp ołtarza mody.

IV. Boa futrzane wraca z triumfem na widownię. Najpierwsze świątynie mody na pokazach mód wiosennych zaliczały do kolekcji prezentowanych modeli boa z lisów opadające z ramion, aż po rąbek sukni. Boa te w kolorach beige, lub rudym, noszone do kostjumu, czy sukni spacerowej podnoszą wygląd i są nad wyraz eleganckie, to też moda, o której mowa, przetrwa prawdopodobnie dłużej i cieszyć się nią będziemy jeszcze w jesiennym i zimowym sezonie.

V. Najnowszą, a najmodniejszą kreacją jest płaszcz strojny wieczorowy z przezroczej tkaniny, z tiulu, lub jedwabnego muślinu. Lekkość materiału pozwala na układanie go warstwami, co przy odpowiednim do-

braniu harmonizujących barw daje subtelne i wyrafinowane efekty.

VI. Szale podporządkowują się też temu kaprynowi modv. Nie spotyka się już dzisiaj innych jak z mousseline de soie, lamowane, lub przetykane złotem, są one zwieźniejsze i bez porównania wdzięczniejsze od dotychczasowych szali hiszpańskich.

VII. Włosy fryzowane, zwijane w loki, walczą o lepsze z gładko zaczesanymi główkami. Tendencja ta witańa jest entuzjastycznie przez wiecznie czujną kokieterię niewieściami. W świecie mody przyjmuje się coraz bardziej uczesanie „jeune pâtre sycilien“, co nie przeszkadza konserwatystkom odsłaniać różowych uszek i golić śnieżnych karczków, robią i one jednak ustępstwo na korzyść nowych prądów, zwijając chociaż jeden fantazyjny lok osadzony zwycięsko nad czołem...

VIII. Kavelusz zaczyna coraz śmieiej przybierać kształt cokolwiek bardziej rozłożysty. Rondko 'iego

ślicznie i kokieteryjnie ocienia głębię źrenic niewieścich, nie przestaje on jednak zdecydowanie odkrywać szyi, tak że większe rondo zanikają stale ku tyłowi główki. W godzinach poobiednich modnie jest na skręconej w loki główce osadzić fantazyjny beret, śmiało z jednej strony podniesiony i wykończony maleńkim nikiem rondkiem.

IX. Pończochy mają niezaprzeczoną tendencję pogłębienia swego kolorytu. Konieczność powrócenia do czarnych, pewne w tym kierunku wysiłki budzą więcej ciekawości i nie pokoju, niż zachwytu, chętniej nagniemy się do noszenia pończoszek dymionych i krękich w zestawieniu z niebieskimi, oraz czarnymi sukniemi.

X. A wreszcie psy! Psy które nigdy nie były tak żywiołowo modne, jak w danej chwili. Aby należycie oddać ważkość tego szczegółu, co składa się tak zasadniczo na doskonałą całość przytoczyć trzeba to, co mówią o nim paryżanki, to że są one poniekąd częścią składową ubóstwianego ensemble'u spacerowego. Polyskliwa stal angielskiego psa policyjnego, cieniowana, gorąco kasztanowata barwa pinczerów, sztywne uwłosienie długoszerstnych foksów białe i rudo znaczonych, zdają się być stworzone do zlania się w harmonijną całość z kapryśnymi tkaninami sportowych sukienek i rypsem najmodniejszych dzisiaj



smokingów. Miejsca rannych spacerów pięknych pań są zagranicą miejscami pokazu nie tylko ich urody, ale i terenem współzawodnictwa o palmę pierwszeństwa dla ich rasowych i ślicznych, lub cudacznie brzydkich towarzyszy.

Wczucie się w prawdziwą doniosłą powagę z jaką w Paryżu jest traktowana kwestja mody i hołdowania takowej, nasuwa uporczywą myśl o tem, czem wytłumaczyć i usprawiedliwić wierność tak nikłej na pozór sprawie w czasach chaosu, niepewności jutra i kryzysu, które za władnęły całym starym światem. Ktoś z rdzennych francuzów zagadnięty o to skierował myśli moje na właściwe tory, tłumacząc czem jest dla Paryża nie sama moda, a kreowanie i lansowanie takowej. Jest to podstawą dobrobytu materialnego, źródłem zarobku dla tysiadczej rzeszy ludzi pracy, punktem świetlnym, co przyciąga do tego nowoczesnego Babilonu liczne rzesze, złoto swe niosące w ofierze.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czemu my nie staramy się, nie możemy stworzyć dla siebie, tylko dla siebie, nie kusząc się już bynajmniej o przyciąganie obcych, o budzenie zachwyty Europy, własnego przemysłu konfekcyjnego, przemysłu, który zdołałby zadowolnić przeciętnie kulturalną jednostkę? Nie brak nam przecież gustu, ani wyrobienia, ani talentów, które pokierowałyby gotowemi do pracy rękami, a jednak przynajmy szczerze i bezstronnie, dziedziny, z któ-



rych usunięto, lub starano się usunąć wyroby zagraniczne zeszyły do poziomu miernoty, smutnej miernoty, która dla skromnych naszych budżetów jest niedostępna, bo mało odporna, licha, a przez to nietrwała i kosztowna. Nie mieści się wprost w głowie, aby w Polsce nie można było wyrabiać np. pończoch w wysokim gatunku i modnych kolorach.

Co stoi temu na przeszkodzie? Co każe wywozić z kraju tysiące i miliony doprawdy trudno zrozumieć, a jednak pończochy łódzkie, które pojawiły się na rynku naszym niedawno po cenach stosunkowo niskich, bo pięciu złotych nie przekraczających, witane entuzjastycznie, okazały się niestety nie tylko w złym gatunku, ale i zrobione tak, że po pierwszym włożeniu rozlatywały się formalnie. Pragnieniem najgorętszem każdej z nas jest móc ubrać siebie i swoich w kraju i tylko w kraju, wołajmy zatem głośno i uporczywie, wołajmy bezustannie o skromne, ale dobre i solidne wyroby krajowe, które pozwoliłyby nam, czytając z prostej niewieściej ciekawości sprawozdania z rynku mody zagranicznej, jak czytamy je z każdej innej dziedziny, ubierać się jednak estetycznie i dobrze w wyroby własne, dążąc stale i solidarnie zapomocą wzmoczonego popytu do wzmoczenia produkcji. Mamy jednak prawo żądać liczenia się z naszą dobrą wolą i z naszymi skromnymi środkami, które wymagają od drugiej strony wysiłku, celem jaknajuczciwszego odpowiedzenia zadaniu.

W. D

## PIERWSZA WIZYTA

(„Bluszcz” wdzięczny „Podolance” za okazane zaufanie).

Niejednej młodej panience, wychodzącej zamąż, zdaje się, że posiadzie raj na ziemi, swobodę nieograniczoną i rozum wszechstronną. Dopiero w jakiś czas po ślubie poczuje, jak bardzo ludziła się, zrozumie, że stała się niewolnicą przyjętych na siebie obowiązków, przerazi się nawalem prac i ciężarów, do których nietylko, że nie jest przygotowaną, ale nawet nie ma o nich pojęcia i z trudnością podołać im będzie mogła.

Wiele wody upłynie zanim przestanie żałować straconej swobody, choć będzie starała się ukryć zawód pod miłym uśmiechem, zyskać pewność siebie w obcowaniu z ludźmi i stanie się odporna na przykrości, których niestety nasze szare życie zawiera tak wiele. Weźmy choćby kłopoty gospodarskie, nieumiejętność pokierowania służącą, rozplanowania prac domowych, robienia zakupów, nieznanomość wartości tychże, rozłożenie skromnego nieraz budżetu tak, aby chociaż o tyle o ile na wszystko starczyło. Nawet najlepiej teoretycznie przygotowana do życia panna, jeżeli ma poczucie obowiązku, zrozumie dopiero wtedy wielkie zadanie, jakiego się podjęła i ze strachem myśleć będzie, czy mu da radę. Ale że nie Święci garnki lepia, więc przy dobrych chęciach, jedne przedziej, drugie później nałożą

się do dźwignia jarzma życia codziennego i wkońcu jakoś to pójdzie. Nie dlatego piszę te słowa, aby zrazić Was czytelniczki do wychodzenia zamąż, ale aby wam udowodnić, jak wielkim błędem jest zamążpójście niedostatecznie przygotowanej do wypełnienia najpoważniejszego i najszczytniejszego w życiu kobiety zadania, stworzenia rodziny. Do każdego zawodu przygotowujemy się uprzednio, tylko do najpoważniejszego, przeważnie wcale. Oprócz strony praktycznej, poważną w życiu rolę odgrywa strona towarzyska, nie można traktować jej jedynie jako rozrywkę, jako czynnik dający nam mniej, lub więcej resursu przyjemnościowego. Stosunki towarzyskie to też obowiązki, od których umiejętnego wypełniania i taktownego utrzymywania, zależy dużo w życiu nie tylko osobistym, ale i powierzonej opiece naszej rodzinie. Rozejrzawszy się w nowych warunkach, ochłonawszy z pierwszych wrażeń i przyzwyczajwszy się do naszych zajęć i obowiązków, czas pomyśleć o nawiązaniu stosunków z ludźmi. Sympatyczna mi bardzo za szczerość, z którą zwróciła się do nas, „Podolanka” nie pisze, gdzie zamieszka po ślubie, przyjmujemy za normę miasto. Zależnym od stanowiska, jakie w życiu zajmujemy, jest dobór ludzi, u których bywać będziemy, w każdym

jednak razie wszelkie wizyty dzielą się na obowiązkowe, a raczej etykietalne i na przyjemnościowe, odpowiadające nam wszelkimi upodobaniami w domach, z którymi chcielibyśmy w bliższe i stalsze wejść stosunki. Na wizytach etykietalnych siedzi się krótko, 15 do 20 minut, dla tych drugich bezceremonjalnych trudno określić długość trwania. Śmiesznem byłoby przerywać miłą zabawę, lub rozmowę dlatego, żeby nie siedzieć za długo, tak samo, jak nieznośnem byłoby dosiadywanie w nudnem towarzystwie dlatego, aby przepisom stało się zadość.

Znałam domy, gdzie przyszedłszy pierwszy raz na chwilę siedziało się do północy i z żalem opuszczano je, czując się tak swojsko i dobrze, jakby znajomość trwała lata. Wszystko bowiem zależy od nastroju swobody i gościnności, szczeroci której od czuwamy. Co do rewizyt, to radziłabym paniom, tym zwłaszcza, które mają ciasne i skromne mieszkanie, aby oznaczyły jeden dzień w tygodniu, a w nim parę dogodnych dla siebie godzin, w które gości przyjmują. Nie mając apartamentów, łatwiej jest jednego dnia krępować się i stworzyć jakiś miły kącik dla gości, jak codzień wyczekiwać wizyt, które w dodatku napewno przyjdą w najnieodpowiedniejszej chwili. Takie oznaczenie dnia i godzin, w które przyjmujemy, rozwiąże także kwestję częstowania gości. I tak zależnie od pory dnia, podajemy herbatę, lub czarną kawę, ciasteczka, ciasta domowe, albo tylko cukierki, lub karmelki. Dużo osób nie docenia wygody takich przyjęć, są nawet tacy, którzy wyśmiewają je, uważając, że to pozowanie na „wielki świat” i nadawanie sobie tonu, ale że u nas śmieją się ze wszystkiego, czego nie rozumieją, więc nie bierzmy tego do serca, poradzimy im tylko, aby spróbowali naszego systemu, a poznają jaki wygodny i oszczędny. Jedno jeszcze nadmienię, że tak przy składaniu, jak oddawaniu wizyt trzeba poinformować się, czy osoby, które zamierzamy odwiedzić, mają dni przyjęć, niegrzecznie bowiem byłoby przeszkadzać komuś w innym dniu. W przeciwnym razie lepiej składać wizyty w dzień świąteczny, lub zapytać kiedy nie zrobimy różnicy. A teraz pomówimy o odpowiedniej tualecie na wizyty, kwestji, niby łatwej, a jednak świadczącej w wysokim stopniu o naszej kulturze. Ubrać się nie za bardzo i nie za mało, umieć utrzymać miarę, to sztuka, którą mało kto posiada.

Przedewszystkiem nie przeładowywać się klejnotami, w dzień uchodzą zaledwie kolczyki i jakaś broszka w formie agrafki wpięta w tak bardzo dziś modne koronkowe żaboty. Na wizytę etykietalną

tualeta powinna być poważniejsza, spokojna, długie rękawy obecnie konieczne w lecie z crêpe de chine'u, mającego zaletę, że nie jest bardzo drogi i dostać go można w ślicznych kolorach. Tak bardzo dziś modne suknie cieniowane otrzymuje się dofarbowując potrzebne cienie.

Z takich cieniowanych materij robi się śliczne suknie, kapelusiki i nawet pelerynki. Ostatnie słowo szyku dzisiaj to zupełna jednolitość koloru, którego urozmaiceniem są cienie jaśniejsze i ciemniejsze. To też dobrze ubrana osoba musi mieć dostoso wany kapelusik, który zrobić można z kawałków pozostałej od sukni materji, woreczek, pończoszki i pantofelki w tym samym co tualeta tonie.

Na wierzch płaszcz w podobnym, lub dobrze zgadzającym się kolorze, koniecznie na podszewce z tej samej co sukni materji. Pantofelki wizytowe nosi się z miękkiej glansowanej skórki przybranej innego koloru, często złotą, lub srebrną skórką.

Płaszcz pozostawia się w przedpokoju, jak również i dobrze dobraną parasolkę, do salonu wchodzi się w kapeluszu i rękawiczkach, które tylko o tyle zdejmujemy się, o ile jest się czem częstowaną. Wtedy zdejmujemy się je, kładzie przy sobie, a po jedzeniu wciąga na ręce.

Wizyty zwyczajne składane dla przyjemności, nie wymagają specjalnego stroju w upały wystarczy jasna lekka sukienka, w chłodne dni może być wełniana, albo zawsze modny kostjum z ładną bluzeczką. Kapelusze mały ze wstążki, albo ze słomki w odpowiednim kolorze.

Robią także zręczne leciutkie kapelusiki szydełkiem z rafji, bardzo ładne, a nadewszystko dostępne dla każdego. Wkrótce podamy wzór takiego kapelusika, tu zaznaczam jeszcze, że w jesieni modne będą takie same, ze sznelki. Do teatru, lub na koncert bierze się sukienkę jasną, lekką, jeżeli gorąco, z krótkimi rękawkami — na wierzch płaszcz, na głowę, o ile nie idziemy na kolację po teatrze, fularowy lub gazowy kapturek wymarszczony — w przeciwnym razie mały kapelus, który wraz z płaszczem pozostawia się w szatni. Do restauracji również wchodzi się bez okrycia, pozostawiając je w kontramarkarni, kapelus jednak zatrzymuje się na głowie. Przesyłając tę garść dobrych rad proszę bardzo o dalsze czytanie „Bluszczu” nie w czytelniku, ale jako stała prenumeratorka, a napewno znajdzie się w nim niejedna pomoc, rada i rozrywka. W kwestiach bardziej skomplikowanych prosimy o zwracanie się nadal do naszej Redakcji.

## POLSKA WSPÓŁCZESNA

### II.

#### GRANICE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ I KRAJE OSCIENNE.

Polska graniczy od zachodu z Rzeczpospolitą Niemiecką, od południa z Rzeczpospolitą Czesko-Słowacką i z Królestwem Rumuńskim, od wschodu ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, a od północy z Rzeczpospolitą Łotewską, z Rzeczpospolitą Litewską, ze stanowiącymi część Niemiec Prusami Wschodnimi i wreszcie z Wolnym Miastem Gdańskiem.

Granica nasza z Niemcami i z Prusami Wschodnimi określona jest postanowieniami traktatu pokoju, podpisanego pomiędzy mocarstwami sprzymierzonymi, a Niemcami, w roku 1919 w Wersalu. Granica

ta jest już obecnie wyznaczona na miejscu zapomocą słupów, przez specjalną polsko-niemiecką komisję graniczną. W stosunku do granicy przedrozbiorowej z roku 1772, granica obecna wykazuje trzy poważne odchylenia — na Górnym Śląsku, gdzie przywraca Polsce znaczną część obszaru utraconego jeszcze w XII stuleciu, nad Notecią, gdzie oddaje Niemcom część dawnego Województwa Poznańskiego i w dolnym biegu Wisły, gdzie również oddaje na rzecz Niemiec dość znaczne obszary dawnego Województwa Malborskiego i Warmji.

Granice Rzeczypospolitej Polskiej z Gdańskiem określił Traktat Wersalski, a oznaczyła na miejscu polsko-gdańska komisja graniczna.

Granica Polski z Czecho-Słowacją ustalona jest traktatem pokoju pomiędzy Austrią, a mocarstwami sprzymierzonymi, zawartym w roku 1919 w St. Germain-en-Laye, oraz dodatkowymi umowami gra-

Przebiega ona po linii cokolwiek tylko korzystniejszej dla Polski, od linii drugiego rozbioru z 1793 roku, a zatem w stosunku do r. 1772 pozbawia Polskę Podola, Kijowszczyzny, większej części Wołynia,

Mińszczyzny, Woj. Mścisławskiego, Witebskiego i części Województwa Połockiego.

Granica z Łotwą nie jest dotychczas ostatecznie ustalona. Prowizoryczna linia graniczna przebiega częścią po rzece Dźwinie, a częścią wg. dawnej granicy administracyjnej rosyjskiego powiatu Jeziorowskiego. Pozostawia ona przy Łotwie należące w r. 1772 do Polski Inflanty Polskie t.j. Letgalję.

Granica z Litwą jest określona przez uchwałę Rady Ambasadorów z r. 1923.

Nie jest ona dotychczas wytknięta w terenie, a obecna linia graniczna ma charakter prowizoryczny. W stosunku do r. 1772, oddaje

granica obecna na rzecz Litwy całe wielkie Księstwo Żmudzkie i część Województw Wileńskiego i Trockiego.



ca ta biegnie linią sztuczną, dzielącą Śląsk na dwie części. Dalej biegnie ona dawną granicą polskowęgierską, pozostawiając jednak przy Czecho-Słowacji większą część Spiza i Orawy. W stosunku do granicy z roku 1772, granica polsko-czeska jest korzystniejszą dla nas, gdyż przywraca Polsce część utraczonego w wieku XIII na rzecz Austrii Księstwa Cieszyńskiego.

Granica Polski z Rumunją nie jest dokładnie ustalona. Prowizorycznie przebiega ona po Dniestrze i po dawnej granicy Galicyjsko-Bukowińskiej. Granica ta bliska jest granicy z r. 1772.

Granica z Rosją, określona traktatem zawartym w r. 1921 w Rydze, jest już wytknięta w terenie i zaakceptowana przez komisję graniczną polsko-sowiecką.

## MLECZARSTWO

Najtrudniejszą rzeczą w mleczarstwie jest racjonalny wyrób dobrego masła. Rzadko zdarza się, aby masło wyrabiane w naszych gospodarstwach było prawdziwie dobre i zrobione oszczędnie. Jest to sprawa o tyle trudna, że nie można podać ścisłych przepisów na wyrób masła, a jedynie wytyczne, na podstawie których trzeba sobie normować warunki produkcji. Najczęstszym błędem prawie każdej gospośki jest dążenie do tego, aby masło otrzymać jak najprędzej. Otóż powinniśmy pamiętać, że nie jest to wcale pożądanym, bo chociaż daje pewną oszczędność pracy, ale odbija się źle na jakości i ilości masła. Normalne zmaślanie powinno trwać 45-60 minut, przyczem dobrze zrobione masło powinno wypadać w postaci drobnych, twardych kuleczek, wielkości ziarenek prosa. O ile zmaślanie następuje zbyt szybko, jest to dowodem, że albo śmietana była za tłusta (powinna zawierać 20-25% tłuszczu), albo temperatura za wysoka. W pierwszym wypadku mamy stratę tłuszczu, gdyż wydatek masła nie jest całkowity, w drugim - otrzymujemy masło maziście, o mniejszej wartości. Najtrudniej jest unormować w każdym poszczególnym wypadku temperaturę zmaśniania, gdyż jest ona uzależniona od całego

szeregu okoliczności. A więc przedewszystkiem od pory roku i temperatury otoczenia. W zimie musimy często śmietanę podgrzewać, w lecie - ochładzać. Gęstość i kwasowość śmietany odgrywają też poważną rolę: im śmietana jest gęściejsza (a zatem i tłusciejsza), tem niższa może być temperatura; im śmietana kwaśniejsza, tem temperatura może być wyższa.

Naogół ciepłota zmaśniania może się wahać w granicach od 8° - 17° C. (Poniżej 8° masło robi się zbyt długo i mamy straty tłuszczu). Ochładzanie, lub ogrzewanie śmietany osiąga się przez wstawienie naczynia ze śmietaną do zimnej, lub ciepłej wody. Nie wolno dolewać wody gorącej, lub zimnej bezpośrednio do śmietany, gdyż jest to najprostszą drogą do zepsucia struktury, lub zakażenia przyszłego masła, co naraża je na rychłe zepsucie.

Na podstawie osobistej bacznej obserwacji każdorazowego wyrobu masła, możemy dojść do dużej wprawy w ocenianiu okoliczności i zastosowaniu odpowiedniej temperatury. Nie powinniśmy przytem pogardzać usługami termometru i zegarka, gdyż jedynie dokładne badanie i zapisywanie spostrzeżeń wzbogaci nas w racjonalne doświadczenie.

Do wyrobu masła powinniśmy zawsze używać śmietany zakwaszonej, gdyż mamy z niej większy wydatek tłuszczu i otrzymujemy masło bez porównania trwalsze, w smaku zaś niema żadnej różnicy, o ile jest należycie wyplókanę i wygniecione.

Śmietanę najlepiej jest zakwaszać samoistnie, to znaczy pozostawić ją na 1—2 doby w pomieszczeniu o temperaturze 15°—18° C. Dodawanie zakwasów w postaci starszej śmietany, lub maślanek jest niedopuszczalnym, gdyż wprowadza najczęściej bakterje wadliwej fermentacji, co wpływa na stratę tłuszczu i szybkie psucie się masła. Jedynie zakwas z młodego zsiadłego mleka można ostrożnie używać, ale musimy mieć pewność, że mleko to jest niemal idealnie czyste. Prawdziwie dobra zakwaszona śmietana powinna powoli spływać z drewnianej łopatki i nie powinna zawierać grudek (przestarzała), ani też pęcherzyków powietrza (niedojrzała).

Jeżeli masło robimy ze słodkiej śmietanki, musimy pamiętać o zastosowaniu odpowiednio niższej temperatury. Obrót maślnicy powinien być szybszy, gdyż kuleczki tłuszczu oddzielają się i łączą w grudki trudniej, niż w śmietanie kwaśnej. Straty tłuszczu przy zmaśnianiu słodkiej śmietanki dochodzą do 2—3%, wiemy więc, że jest to marnotrawstwo dość poważne. System maślniczy nie odgrywa wielkiej roli. Przy wyborze powinniśmy się kierować sprawnością w działaniu i łatwością mycia i wietrzenia. Nie wskazano jest używanie maślnic metalowych, gdyż nie zachowują one jednostajnej temperatury, reagując w znacznym stopniu na ciepłość otoczenia. Zwykła drewniana kizanka jest dobra, o ile mamy niewielkie ilości śmietany do przerobu; przy większej produkcji używanie kizanek absorbowałoby zbyt wiele pracy. Z maślnic, obracanych korbą, najlepsze są systemu Victoria i t. zw. holenderskie. Śmietany nalewa się do nich mniej więcej  $\frac{1}{3}$  do  $\frac{1}{2}$  całkowitej pojemności. Zbyt wielka ilość śmietany opóźnia wyrób masła i powoduje straty tłuszczu.

Ruch korby z początku powinien być powolny, potem do 50 obrotów na minutę, kiedy masło zacznie już wypadać, należy zwolnić tempo, aby nie zbić go od razu w duże bryły. Maślnice myje się i utrzymuje w porządku w taki sam sposób, jak wirowki i inne naczynia mleczarniane. Płókanie masła polega na możliwie dokładnym obmyciu go z maślanek. Najważniejszym czynnikiem jest tu dobra, prawdziwie czysta woda. Złą wodą bardzo łatwo można masło zanieczyścić, wskutek czego łatwo się psuje. Jeżeli mamy jedynie złą wodę do rozporządzenia, to o wiele lepiej masła nie płókać zupełnie, a tylko wygnieść je bardzo starannie i zasolić. Do mniejszych ilości masła można wodę przegotować i ochłodzić, co nie zawsze jest skuteczne, gdyż nie zawsze zanika w niej po gotowaniu jakiś swoisty zapach, lub smak, co z łatwością udziela się masłu. Najlepiej masło płókać z początku w samej maślnicy, a zwłaszcza jeżeli jest ona obracana korbą. Kiedy już grudki masła wypadną całkowicie, należy zlać maślanekę, lub ściągnąć ją rurką, nalać na jej miejsce pełno wody i obracać korbą 1—2 minuty. Po kilkakrotnem takim splókaniu nalewamy wody mało i obracamy tak długo, dopóki masło nie zbije się w większe bryły, poczem wyjmujemy je przy pomocy sita i wygniatamy je drewnianą łyżką, lub na wygniatarce.

Wygniatarki są to nieocenione często przyrządy, ułatwiające nam niezmiernie trudną czynność dokładnego wygniecia masła. Zwłaszcza tam, gdzie

niema dobrej wody, wygniatarka jest przyrządem niezbędnym. Jej prosta konstrukcja, a co za tem idzie, niezbyt wygórowana cena, umożliwiając nabyć jej dla każdej, nawet małej mleczarni. Masło zawija się i podkłada się pod wałek wygniatarki kilkakrotnie, dopóki pojawiają się duże krople wody, lub maślanek. Dobrze wygniecione masło powinno pod uciskiem wydzielać ledwie dostrzegalną rosę. Należy unikać przegnienienia masła, gdyż traci wtedy swą dobrą strukturę i połysk. Masło powinno się wygniatąć po 30—40 minutach po zrobieniu, aż grudki należycie stwardnieją. W mleczarniach domowych zupełnie małych, gdzie prócz maślnicy niema innych przyrządów do produkcji masła, najlepiej masło obmywać na włosianem sicie, przelewając je czystą wodą, a kiedy woda dobrze odcieknie wygnieść drewnianą łyżką na niecce, lub kamiennej misce.

Ważną czynnością w mleczarni jest konserwowanie masła czy to ze względu na potrzeby domu, czy też w celu uzyskania w innym czasie lepszej ceny za produkt. Najczęstszym sposobem jest solenie. O ile chcemy solić w celu przechowania, musimy użyć 2—3% soli (na szybkie spożycie 1—1½%) nie gorzkiej, czystej i średnioziarnistej.

W kilka godzin po nasoleniu, wygniatamy (sól ściąga sporo wody) ubijamy w kamienne polewane garnki i zalewamy szczelnie topionem masłem, które jeszcze posypujemy solą po zastygnięciu. Prawdziwie dobre masło można przechowywać w ten sposób w chłodnych i suchych pomieszczeniach do 6—8 miesięcy. Niemal 2 razy dłużej możemy konserwować masło topione, ma ono jednak niewielki popyt i niewysoką cenę.

Czysty topiony tłuszcz (pianę się zbiera, męty zostają w naczyniu) zlewa się do kamiennych garnków, zastudza i soli po wierzchu. Jeżeli chcemy dłużej przechować, można garnek zagipsować, położywszy uprzednio na masło krąg pergaminowego papieru. Masła przetopionego otrzymujemy 80—85% użytego do topienia.

Nie zawadzi nam na koniec określić cechy dobrego masła, aby umieć ocenić produkt naszej mleczarni. Masło pomimo wygniecia w jednostajną bryłę, powinno mieć strukturę ziarnistą, co łatwo jest ocenić na podstawie przelomu bryłki. Barwa powinna być jednolita, jasno-żółta, zbliżona do koloru owsianej słomy, woń łagodna, przyjemna i czysta (zbliżona nieco do zapachu słodkich migdałów), smak również czysty, charakterystyczny dla masła, nie przypominający żadnych smaków ubocznych.

Twardość masła powinna być średnia, aby można było z łatwością je rozsmarować, nie powinno być ani zbyt oporne, ani też maziste w żadnej porze roku. Często zdarza się, iż zachowujemy wszystkie konieczne warunki do racjonalnego wyrobu, a pomimo to otrzymujemy produkt niezadawalniający naszych wymagań. Musimy wówczas sięgnąć dalej, szukając przyczyn, i zbadać jakość paszy krów, oraz proporcje, w jakich różne pokarmy są im zadawane. Również duży wpływ wywiera wysokość cielności i dawnomleczność krów. Mleko, pochodzące od takich krów, zawiera tłuszcz w postaci kuleczek drobniejszych, niż mleko zwykłe, a zatem śmietanę z niego, jako trudniejszą do zmaśniania, należy przedtem podgrzać do odpowiednio wyższej temperatury.

Przy wyrobie masła, pozostają w mleczarni produkty uboczne w postaci chudego mleka i maślanek. Najlepiej oplaca się zużytkowanie produktów tych we własnym gospodarstwie, jako doskonałej paszy dla inwentarza. Wartość odżywcza zarówno mleka

chudego, jak i maślanki jest bardzo wysoka, można więc chować dużo młodego inwentarza i opasów.

Przy gospodarce drobiowej zaleca się robienie codziennie świeżego twarogu, który jest dobrą karmą białkową, serwatka zaś jest doskonałym picciem dla świń wpływającym na przyrost wagi. Jeżeli warunki układają się tak, że mleka mamy więcej, niż może go spotrzebować nasz inwentarz możemy wówczas wytwarzać twaróg na sprzedaż. W tym wypadku najlepiej zakontraktować stały zbył, gdyż

twaróg przy dłuższem przechowywaniu łatwo się psuje. Przy wyrobie twarogu należy uważać, aby nie podgrzewać go powyżej 40°, gdyż wtedy staje się ziarnisty i sypki. Najłatwiejszy i najprędszy sposób wyrobu twarogu polega na dodaniu do mleka serwatki, lub maślanki i podgrzaniu go do 30—33°. Następnego dnia dogrzewa się do 40° i po kilku godzinach mamy twaróg gotowy do odcedzenia i odcisnięcia. Odciskać należy stopniowo. O wyrobie różnych gatunków serów powiemy na innem miejscu. *H Bilska.*

## PRZED WYJAZDEM NA LETNISKO

Minęły te idylliczne czasy, kiedy to na wsi wszystko było tanio i wszystkiego było wbród. Dzisiaj, jeżeli chodzi o okolice podmiejskie, to wszystkie produkty, zaczynając od nabiału i jarzyn, a kończąc na drobiu i towarach kolonialnych, są znacznie droższe, niż w mieście, tak znacznie, że niejedna dobrze umiejąca rachować gospodyni jeździ raz albo dwa na tydzień do miasta z dużym koszem i prowianty na letnisko przywozi. Że odpoczynek letni przytem żadnych korzyści dla zdrowia nie przynosi, jest rzeczą oczywistą.

Oprócz drożyzny, jest jeszcze trudność w nabywaniu produktów, nowalje, które w mieście jadamy od kwietnia, zjawiają się dopiero w lipcu, przyczem sałata odrazu, z racji upałów, jest twarda i gorzka, kartofle się kopie dopiero wtedy, kiedy prawie dojrzeją, gdyż na młodych, drobnych gospodarze nie chcą mieć straty i t. p., zamiast soczystych karotek, jakieś do biczyków podobne, pastewne marchewki, o groszku cukrowym ani mowy, jest tylko drobnuchny polny, który się sprzedaje wraz z całą łęcina wydartą z korzeniem.

Dobrze, jeżeli w okolicy jest jaki dwór, mający cieplarnię, inspekta, ogród warzywny i owocowy, letnicy okoliczni wszystko co takie ogrodnictwo wyprodukuje z radością rozkupią. Niestety w wielu miejscowościach, szczególnie dalej od dużych miast, na kresach wschodnich, prowadzenie ogrodu przemysłowego, utrzymanie stałego ogrodnika, wynajem robotnika przestały się opłacać, i sami ziemianie jadają ogórki dopiero, gdy im urosną na grzędach, inne jarzyny też dopiero od połowy lipca, gdy ich hodowla jest łatwa i niekosztowna. Mówię tu o letniskach podmiejskich i wiejskich, jeszcze gorzej jest nad morzem.

Na całym polskim wybrzeżu, zaczynając od Orłowa, kończąc gdzieś za Helem oprócz kartofli i grzybów, wszelkie jarzyny są niedostępna rzadkością, owoce jeszcze bardziej. Nie wiem czemu to przypisać, że gdy rynki warzywno-owocowe w Gdańsku, Oliwie i Sopotach zdają się być jedną, wspólną wystawą ogrodniczą, już od Orłowa (dzieli go od Sopot jeden zwykły, drewniany kołowrót, stanowiący linję graniczną) zaczyna się królestwo flondry i wieprzowiny urozmaiconej kartoflem.

Jarzyny i owoce są zbytkiem niedostępnym, nabiał, szczególnie mleko świeże zaledwie dla dzieci

zdobyć można. Z nabiałem zresztą i pod Warszawą cudeńka się dzieją, nieraz jak się zacznie warzyć mleko przy gotowaniu, zapewne z racji nie dosyć czystego utrzymania naczyń używanych do dojenia i przechowywania, to tygodniami nie można mieć ani kawy, ani kakao, ani żadnej kaszki, ani kluseczek, ani innej potrawy na mleku. I oto tutaj nieocenioną usługę mogą nam okazać konserwy, te konserwy, w które się zaopatrujemy zwykle na zimę dopiero.

Ostatniemi czasy firmy krajowe bardzo się wydoskonalily w wyrobie konserwów jarzynowych i owocowych, i jeżeli jeszcze panie na wsi mogą zaopatrywać swoje piwnice i spiżarnie w kompoty i jarzyny przyrządzane w Weck'u, lub w zwykłych kompotjerach, to przy cenach obecnych jarzyn i owoców w mieście, wątpię bardzo czyby się to kalkulowało.

Nie o tem jednak mowa—ceny konserw kupnych i robionych w domu będziemy kalkulowały jesienią. Teraz, wyjeżdżając na letnisko, musimy się zaopatrzyć przedewszystkiem w towary kolonialne: herbatę, kawę (niepaloną, gdyż potem aromat traci), kakao, kaszę, ryż, makaron, włoszczyznę suszoną, grzyby suszone, ocet dobry (nie esencję, zawsze szkodliwą dla zdrowia), oliwę w blaszankach, musztardę, groch, fasolę, owoce suszone, zapas cukru i mąki, konserwy jarzynowe i owocowe, mleko w puszkach (lepiej brać śmietankę, czy też „Krem“). Radzę brać mleko krajowe i niesłodzone. Jest ono nieco droższe od amerykańskiego i od duńskiego, ale, jeżeli zamiast duńskiego, weźmiemy polskie, będzie tylko przez patriotyzm, — amerykańska zaś śmie-

tanka jest mieszaniną zwykłego mleka z olejem z orzechów kokosowych, co każdy na każdej puszcze bardzo drobnym drukiem przeczytać może. Krajowe zaś „kremy“ są produktem zupełnie czystym i mogą być dawane drobnym dzieciom i osobom słabym na żołądek. Wianek grzybów suszonych, garnek masła solonego, poleć boczkę wędzonego i drugi takiejże wędzonej słoniny, wszystko to radzę zabrać ze sobą, a będziemy się czuły dziwnie niezależni od wyzysku miejscowych sklepikarzy i fantazji pr. ekup. ek.

Poza przedmiotami spożywczymi, nie szkodzi zabrać ze sobą zapas świec i mydła, zapalek, farby, krochmalu, bielidła, pastę do



butów, proszek do noży i rondli. Wszystko to poza granicami miasta jest dużo droższe, a parę skrzyń, czy koszy więcej przy przeprowadzce nie robi żadnej różnicy. Dobrze zaopatrzona spiżarnia i kredens na letniku znakomicie pomaga gospodyni używać wyczasów letnich, zmniejsza ilość jej podróży do miasta i daje możliwość panom i władcom, przyjeżdżającym do rodziny, na „weekend“, ograniczenia zakupów do wędlin i przekąsek ewentualnie jakichś spirytualij—wszystko sprowadzone do jednego jakiegoś pakunka, zamiast dotychczasowych kilkunastu drobniaków, rozpychających kieszenie, obrywających guziki, obciążających każdy palec u rąk—zmuszających żalować, że człowiek niema czterech rąk, jak jego domniemany protoplasta orangutang.

Pozostaje jeszcze jedna strona — finansowa! Jeżeli prowadzimy porządną rachunkowość, stosujemy się do naprzód ułożonego budżetu—budżet ten powinien przewidywać ten jednorazowy, duży wydatek—wydatek ten da przez letnie miesiące taką dużą oszczędność na życiu, że będziemy znowu tę oszczędność mogły zużyć na zapasy i zakupy zimowe. Musimy się oduczyć od życia z dnia na dzień, to jest najdroższy, najkosztowniejszy system.

Pani Elżbieta



### AGREST ZIELONY.

Agrest należy smażyć pomiędzy 15 a 25 czerwca, kiedy owoc jest należycie wyrośnięty, ale jeszcze zupełnie twardy. Na konfitury używać owocu dużego, gładkiego, ciemno zielonego gatunku. Gdy weźmiemy agrest sinego, nie ciemnozielonego koloru, żadne starania ani sztuczne zabarwanie nie pomogą, konfitura nie będzie miała ładnego koloru. Smażenie agrestu wymaga dużo nakładu pracy i dużo zachodu, udana konfitura agrestowa stanowi chlubę gospodyni, niestety, często się nie udaje.

Agrest można drelować dwoma sposobami, jeden naciskając koniec owocu, drugi rozcinając go z boku. Jednym, lub drugim sposobem dreluje się agrest podwójną szpilką do włosów, lub też odwrotną stroną stalówki. Agrest wydrelować, wyplókać, odcedzić i osączyć na sicie. Włożyć do polewanego garnka, przekładając obficie liściem wiśniowym, zalać spirytusem, przykryć pokrywą, zakleić szczelnie ciastem chlebowym, lub gęstym kłajstrem z mąki, wstawić w piec po chlebie na cztery godziny. Po wyjęciu z pieca natychmiast wyrzucić na sito, zlewać zimną wodą z lodem, aby okrzepnął. Zrobić gęsty syrop z pół szklanki wody na 40 deka cukru, biorąc narazie 40 deka cukru, na 40 deka agrestu, ostudzonym ulepem zalać agrest w wazie, lub sala-

terce. Nazajutrz ulep zlać, dodać po 20 deka cukru na 40 deka agrestu, wysmażyć do uprzedniej gęstości, letnim zalać powtórnie agrest. Po dwudziestu czterech godzinach powtórzyć to raz jeszcze. Nakoniec dnia trzeciego wysmażyć ulep do gęstości, (cukru powinno być użyte najmniej kilo na pół kilo agrestu), do wrzącego wrzucić agrest i smażyć na bardzo wolnym ogniu, tak, aby syrop zaledwie drgał, gdyż mocno się gotując stwardniałby. Smażyć z przerwami dziesięciominutowymi, aby się owoc napił dobrze syropem. Gdy agrest przezroczysty dodać na każde kilo konfitury pastylkę benzoesu rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Ostudzić na salaterce. Na drugi dzień dopiero składać w słoje. Kto lubi może dodać na każde kilo agrestu cal wanilii, wkładając ją przy smażeniu w całym strączku, daje ona mały aromat konfiturze, zamiast wanilii można użyć skórki cytrynowej utartej na tarce ze świeżych cytryn, albo parę kropel olejku cytrynowego, wlanego na dosmażaniu.

### PORZECZKI CZERWONE I BIAŁE W KONFITURZE.

Chcąc usmażyć wykwintną konfiturę z porzeczek, należy je wydrelować, co jest dużą pracą, muszę jednak zwrócić uwagę pań na to, że drelowanie porzeczek nie niszczy rąk, przeciwnie, najbardziej opalone rączki po wydrelowaniu kilku kilo porzeczek ślicznie zbieleją. Na kilo wydrelowanych porzeczek bierze się dwa i pół do trzech kilo cukru, na kilo cukru dwie i pół szklanki wody, gotuje syrop, szumuje go starannie. Na wrzący syrop sypie się owoce, miesza raz jeden łyżką, aby równo zmieszały się z ulepem, smaży bez przerwy na wolnym ogniu. Gdy porzeczki się staną przezroczyste, co dosyć prędko następuje, a krople syropu nalane na spodek zetną się jak galaretka, konfitury są gotowe. Do gorących dodać na każde kilo konfitur pastylkę benzoesu rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Dać przestygnąć w miedniczce i letnią jeszcze składać w nieduże słoiki, zgalaretują się nieco po wierzchu, co doda trwałości konfiturom. Kto nie chce sobie przyczyniać pracy drelowaniem może smażyć porzeczki całe, tak smażone są angielskie „jam'y“. Cukru do niedrelowanych porzeczek bierze się kilo i ćwierć do półtora, na kilo owocu, zresztą się postępuje tak samo, jak z drelowanymi. Smażąc porzeczki i chcąc zachować ich ładny, biały kolor, należy je kłaść w bardzo gęsty syrop i smażyć możliwie prędko. Gotując się długo, stają się nieładne, jakieś różowo żółtawe.

### „JAM“ Z TRUSKAWEK.

Na kilo truskawek, kilo cukru. Połowę owocu, ładniejsze i bujniejsze sztuki odebrać, poobcinać starannie listki i szypułki przy samej jagódce, wyrwijając szypułkę, powodujemy zupełne rozgotowanie owocu. Gorszy owoc przepuszczamy przez maszynkę, lub przecieramy przez rzadkie sito, mieszamy z cukrem i smażymy na bardzo wolnym ogniu, gdy syrop ten zaczyna być przezroczysty, wkładamy

DR. MED. J. ŚWITALSKA

zawiadamia, że przez maj i czerwiec ordynować będzie od 5—7 codzień, z wyjątkiem sobót i niedziel

Kru. za 31, m. 3; tel. 102-77



całe truskawki, mieszaamy raz jeden bardzo dokładnie, i znów smażymy, zawsze na bardzo wolnym ogniu, aby do dna miedniczki się nie przypalił. Gdy całe truskawki już są przezroczyście, dodajemy na każde kilo konserwy pastylkę benzoesu rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Miedniczkę odsławiamy, jam jeszcze nieco leśni składamy do słoików. Jam taki gotowany zupełnie bez wody jest nadzwyczaj trwałe, czego nie można powiedzieć o innych konfiturach z truskawek, mających zawsze skłonność do fermentowania.

### KURCZĘTA SMAŻONE.

Bardzo młode lecz mięsiste kurczęta, przekrajać wzdłuż na połowe, nóżki, główki, szyjki i dróbka użyć na rosół, kurczęta zbić lekko, tak aby kości nie połamać, lecz spłaszczyć je trochę. Każdą połówkę utarzać w mące, potem w rozbitym jajku, na koniec w bułeczce tartej. Na patelni głębokiej rozpuścić dużo szmalcu, jak na racuszki, na rozpalony kłaść kurczęta i smażyć z obu stron na rumiano. Gdy już usmażone posolić, patelnię odstawić, przykryć drugą patelnią, lub też wstawić z patelnią wprost pod blachę i trzymać jeszcze tak około pół godziny, aby dobrze wewnątrz doszły. Jest to wyborny sposób podawania kurcząt, łatwy i prędki. Do nich najodpowiedniejszym dodatkiem jest sałata zielona ze śmietaną.

### MAKARON PO FRANCUSKU.

20 deka makaronu ugotować w wodzie osolonej, uważając, aby tylko utracił surowiznę, a nie rozgotował się na miękko. 10 deka ostrego sera utrzeć na tarce, 12 deka szynki usiekać drobno, zmieszać razem, dodać dziesięć deka masła, trzy żółtka, farsz wyrobić doskonale, na koniec dodać trzy białka ubite na sztywną pianę. Formę budyniową lub nelsonkę wysmarować masłem, włożyć warstwę makaronu, na to warstwę farszu, znów makaronu, aż się wszystko zużyje, ostatnia warstwa powinna być z makaronu. Przykryć pokrywą, wstawić w rondel z gotującą wodą, dochodząca do połowy formy, gotować trzy kwadransy. Wyjąć formę z wody i wstawić na kwadrans do gorącego pieca, stawiając do pieca zdjąć pokrywę, aby się makaron zarumienił. Wyrzucić na półmisek i podać z sosem pomidorowym lub rumianym.

*Pani Elżbiata.*

## DOBRE RADY

Plamy tłuste na aksamicie czyści się benzyna, plamy ze stearny, lub wosku w sposób następujący: kilka kawałków w ośrodku z bułki zrumienić i przykładać do miejsca splamionego całkiem gorące, a plamy znikną bez śladu.

\* \* \*

Aby obuwie zrobić nieprzemakalnem trzeba wziąć równe części: łożu, smalcu wieprz wego i żółtego wosku, dodać do tego zmieszanej terpentyny z oliwą w stosunku 100 gr. na 400 gr. tłuszczów i wosku razem wziętych i rozpuścić.

Kawałkiem flaneli naciera się tą mieszaniną jeszcze ciepłą obuwie, wcierając mocno i długo w szwy i podeszwy, a najbardziej zmoczone wilgoci nie przepuści.

## Korespondencje działu praktycznego

*Pani E. S. Imielno.*

Stół do drugiego śniadania przybiera się kwiatami, ale mniej bogato, jak do obiadu. Od wykwintu przyjęcia zależy rodzaj kwiatów, jakimi się stół przybiera, i tak do skromnego śniadania bardzo ładnie wyglądać będą polne kwiaty, maki ponsowe z pączkami i trawami, margerity, lub bławatki z kłosami, do wykwintniejszego nakrycia różę Maréchal Niel; przedewszystkiem uważać należy, aby kwiaty były ednego gatunku i koloru, układa je się w żardinierkach, niskich koszykach i kryształowych wazonach, różę ślicznie wyglądają powkładane pojedynczo lub po dwie do cienkich szklanych rurek, lub ułożone w żardinierkach porcelanowych nakrytych siateczką z cienkiego druciku, w oczka której wkłada się kwiaty i liście np. z drobnolutkiej paproci adiantum zwanej. Co do potraw to oprócz zakąsek do wódki podaje się barszcz w filiżankach z pasztecikami, polędwicę po angielsku z garniturem, szynkę na gorąco z puré z grochu i z chrzanem, potrawę z kur z sosem rakowym we francuskim cieście, filet sauté z szampionami, różne majonezy galantyny, auszpiki z raków, ryb i drobiu, kotlety baranie, maleńkie, z sosem Soubise, różne sezonowe młode jarzyny, kurczęta, sałaty, z tych potraw wybrać dla siebie odpowiednie, a co do kolejności podawać: barszcz lub buljon, paszteciki, majonez, auszpick lub galantyna, następnie jedno z gorących mięs wskazanych, potem jarzyny, a na deser, kompoty, owoce sezonowe, lody, sery, do nich cieniutki krajany chleb czarny, masłem smarowany, na to znów chleb, masło, chleb i tak aż uformuje się na dłoń wysoki kawałek, wtedy mocno przcisnąć, aby dobrze wszystko się zlepilo i bardzo ostrym, a szerokim nożem krajać w poprzek na cienkie równe plasterki. Ślicznie i elegancko wygląda, w dodatku bardzo jest smacznem podaniem do sera. Do zimnych mięs majonezów, galantyn podaje się sos tatarski.

*Pani H. P. z Pleszewa.*

Srodek do prania, o który Sz. Pani zapytuje, bardzo jest reklamowany i przez wiele osób używany. Przypuszczam, że jest w nim chlorek odwoniony, ale znam dużo osób, które nie mają słów na pochwałę takiego prania. Sądzę, że ostrożnie używany i dobrze rozpuszczony, może oddać duże usługi tym zwłaszcza, które same muszą pracować swoją bielizną.

*Zmartwionej.*

Sądzę, że nic już nie pomoże na sweater widocznie spalony słońcem. Niech Pani spróbuje uprać go w Luksie, zupełnie wystudzonym i rozprowadzanym miękka, najlepiej deszczową wodą i wysuszyć rozciągnięty na stole między dwoma prześcieradłami koniecznie w cieniu i w chłodzie. O ile nie puszcza plamy, ale wróci miękkość, można będzie sweater ufarbować.

*Pani K. S.*

Krety, o ile chce się użytkować skórki na futra, trzeba wykopywać, to znaczy dopatrzeć chwili, kiedy głównie po deszczu kret ryć zaczyna. Skoro tylko ziemia się unosi trzeba natychmiast szpadelkiem wykopać kreta, złapać i zabić. Zwierzątka te nieprzyjemne w ogrodzie, są jednak bardzo pożyteczne, bo tępią różne owady i pędraki szkodliwe, dlatego prędzej ochraniać, jak tępić, wartoby krety. Niektórzy ogrodnicy niszczą je, zalewając kretowinę wodą przez rurę od sikawki. Zatapiają wprawdzie kreta, ale futro jego traci wartość, a przecież to jedyna racja tępienia go.

*Pani R. Z.*

Najodpowiedniejszym będzie prawdopodobnie dla Sz. Pani Zakład wychowawczy Ojców Marjanów z internatem, Warszawa-Bielany. Jest to szkoła pod kierunkiem wychowawcy świeckiego i posiada wszelkie przez Panią żądane warunki. Proszę listownie zażądać bliższych informacji, adresować, jak wyżej. Jest jeszcze szkoła prof. Giżyckiego w Wierzbnie, pod Warszawą dobrze bardzo prowadzona jest jednak o wiele droższa i nie ma internatu. Tego samego typu jest szkoła Rakka-Dwór w Rabce, zwrócić się trzeba do Dr. J. Wieczorkiewicza w Rabce, Małopolska. Osobiście wybrałabym Zakład Ojców Marjanów.

Pani H. J. Toruń.

Nie bardzo rozumiemy co znaczy „plamy z wilgoci”. Jeżeli tu chodzi o zbutwiałe plamy, to na nie niema lekarstwa poza starannym praniem i bieleniem bielizny, żółtem plamy znikają, a przynajmniej zjaśniają, czarne zaś centki pozostaną i prędzej wypadną, jak wypiorą się.

Kilkoletniej prenumeratorko.

Aby się pozbyć mszyc na różach, trzeba je delikatnie z nich odmuhać i co wieczór o zachodzie słońca skrapiać krzaki odwarem z tytoniu zmieszany z wodą deszczową.

Sanatorjum Rajcza.

„Pull over” robi się z wełny na wagę, w motkach, a nie w kłębkach, może być zephyr sześciokłowy. Wełny potrzeba 500 do 600 gr. zależnie od wzrostu i tuszy osoby, dla której kamizelka jest przeznaczona. Pull over może być robiony na drutach, albo szydełkiem, ścięciem jaknajprostszym. Szydełkiem najlepszy będzie ścieg słupkowy, zahaczany z tyłu o jedną nitkę poprzedniego rzędu. Taką kamizelkę robić można albo całą od razu, albo z części zeszywanych ze sobą. Fason zupełnie prosty kraje się z papieru podług miary wziętej centymetrem. Jeżeli robi się całą z jednego kawałka, to zaczyna się od rękawa, jeżeli zaś z części, to od dołu.

Wkrótce damy w „Bluszczu” fason i opis takiej kamizelki.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Żanetka.

Na wagi na plecach stosować należy następujące zabiegi: na noc wymyć gorącą wodą z mydłem, po wysuszeniu natrzeć spirytusem rezorcynowym 2%. Poza tem wskazanem byłoby owe wagi usunąć specjalnym przyrządem t. zw. kluczykiem, poprzednio wygotowanym dla uniknięcia infekcji. Przy silnym stopniu łojotoku stosować przez okres dłuższy np. sulfidol 7,0, guma arabska 2, camph 1,5 An. calcis 40, na noc na twarz, natomiast na plecy użyć można silniejszego środka.

Na plecy:

Rp. Ac. salicyl, Sulfi dol. 4,0 Spir. rumi 20,0 Sapom Kalini op. 20,0 Gliceryni op. 20,0.

Ds. 5 — 10 dni nacierać plecy.

Przy stosowaniu silnych odtłuszczających środków na noc należy koniecznie rano natłuścić skórę, wcierając lekko w minimalnej ilości „Mój Krem”. Niejednokrotnie wspominałam, po odtłuszczeniu skóry powstają szczelinki, opierzchnięcia, występuje podatność do tworzenia się zmarszczek. Niewielka ilość delikatnego kremu zapobiega wszystkim tym nieprzyjemnym dolegliwościom skóry.

W ostatnim numerze „Bluszczu” opuszczono 2 recepty

Na upławy: Zinci sulf.  
Alum crudi  
Ac. borici aa 50,0

Łyzeczka do irygat.

Brunetce.

Na bóle dla złagodzenia:

Ol. Hyoscyami 25,0  
Ol. Chloroformi 25,0  
Mentoli 1,0

Ds. nacierać miejsca bolące.

Na pytanie czy jest sposób przyciemniania rzęs, odpowiedź muszę, że dobrego i higienicznego sposobu absolutnie niema. Wszystkie farby, stosowane do rzęs, mogą wywołać stan zapalny oka, ostrzegam również przed kroplami wpuszczanymi do oka tak zw. „Charme”, Kosmet. zakład „Cleo”. Jest to poprostu karygodne, można na zawsze stracić wzrok. Farby roślinne nadają się do farbowania włosów i brwi.

Dr. J. Świtalska.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr 25

560. Suknia z crêpe de chine'u deseniowego, od dołu falbany z georgette'y.
561. Suknia z deseniowego crêpe marocain z białym żabotem.
562. Sukienka dla dziewczynki pięcioletniej z surowego jedwabiu w dwóch kolorach.
563. Suknia z surowego jedwabiu barwnie haftowana.
564. Suknia z płócienka białego przybrana kolorowymi pliskami.
565. Suknia z kasha granatowego, kołnierzyk biały.
566. Suknia z różowego crêpe de chine'u przybrana szarą koronką.
567. Suknia z deseniowego fularu z kamizelką z or.gandyny.
568. Kapelusik z rafii robiony szydełkiem.
569. Suknia z crêpe de chine'u gładkiego i deseniowego.
570. Suknia z crêpe marocain w drobny rzucik, kamizelka biała.
571. Główka modnie uczesana.
572. Suknia z deseniowego crêpe marocain, żabot biały obity kolorem.
573. Sportowa sukienka z białego płótna.
574. Kapelusik sportowy i sposób zawiązania szala.
575. Suknia z dwóch materiałów dla dziewczynki czternastoletniej.
576. Spódniczka szafirowa układana w kontrafaldy i bluzka biała, przybrana szafirowym dla dziewczynki dwunastoletniej.
577. Sukienka przybrana haftem i kolorową plisą dla dziewczynki siedmioletniej.
578. Sukienka z zefiru w kratę dla dziewczynki dwunastoletniej.
579. Laufer zakopiański, haft kolorowy.
580. Wzór na serwetkę, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dziecinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu” nie wysyłamy.

TOW. AKC. „FR. KARPIŃSKI W WARSZAWIE“

POLECA

PRZETŁUSZCZONE HIGJENICZNE

**MYDŁO LILJOWE**  
DLA CERY DELIKATNEJ I WRAŻLIWEJ  
NIE ZNOSZĄCEJ NAWET WYBOROWYCH  
GATUNKÓW MYDEŁ

**PANIE I PANÓW**

PRZYJMUJEMY NA ZBIOROWE LEKCJE  
WYROBU DYWANÓW SMYRNEŃSKICH

Gotowe wyroby kupujemy i sprzedaż ich ułatwiamy.  
Każda z Pań wykonywać może roboty w domu. Przyj-  
mujemy dywany do strzyżenia i kunsztownego cerowa-  
nia, oraz zamówienia na stylowe dywany nowe.

Towarzystwo WYROBU Dywanów Smyrneń-  
skich w Polsce

„K. LITWINOWICZ I S-KA“

Biurowo Zarządu: Warszawa, Marszałkowska 94, m. 8.



175

Ważne dla wszystkich Czytelniczek!

W PIERWSZYCH DNIACH LIPCA R. B. UKAŻE SIĘ NAKŁADEM TOW. WYD. „BLUSZCZ“  
BOGATO ILUSTROWANA KSIĄŻECZKA

p. t.

**HAFT KOŁOROWY**

ZAWIERAJĄCA DOKŁADNĄ NAUKĘ WSZELKIEGO RODZAJU  
HAFTÓW KOŁOROWYCH ORAZ ODPOWIEDNIE  
WZORY NATURALNEJ WIELKOŚCI

CENA POWYŻSZEGO WYDAWNICTWA W SPRZEDAŻY DETALICZNEJ WYNOŚĆ BĘDZIE

1 zł. 50 gr.

Czytelniczki „BLUSZCZU“, które  
do dnia 1 lipca r. b. nadesłają kwotę

**1 zł.**

otrzymają „HAFT KOŁOROWY“  
po tej ZNIŻONEJ CENIE

Jedynie piękną cerę nadają

## KREMY I PUDRY HIGJENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki  
**M. MALINOWSKIEGO**

177 Warszawa, Nowy Świat 31.



## NAJA TRIPUDIANS

(ZMIJA EGIPSKA)

ANNIE VIVANTI

JEST TO:

„Mocno napisana i konsekwentnie zbudowana powieść, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.“

Z. Rabeka (Kurjer Warszawski)

Cena zł. 5 z przesyłką poleconą 3.50.

Wydany przez nas bardzo starannie,

## ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównyduje pod względem wykonania zagranicznemu tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU“ (ze względu na ilustrowane poczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „ZBIORU“ wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU“

Warszawa, Krak. Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE  
(PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3700.

### PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową wynoszą

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

### CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica  $\frac{1}{2}$  — 450 zł.,  $\frac{1}{4}$  str. — 260 zł.,

$\frac{1}{4}$  str. — 150 zł.,  $\frac{1}{8}$  str. — 80 zł.,  $\frac{1}{16}$  str. — 45 zł.,

$\frac{1}{24}$  str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.